



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 39 (129)

NIEDZIELA, 19 LISTOPADA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

KS. WALERIAN MEYSZTOWICZ

PIĘĆSETLECIE WARMY

10 listopada minęło pięćset lat od dnia, w którym poległ pod Warną Władysław III król polski, król węgierski, wielki książę litewski. Poległ w wyprawie krzyżowej przeciwko Turkom, którzy wdarli się na północną część półwyspu bałkańskiego, grozili zniszczeniem cywilizacji chrześcijańskiej w Konstantynopolu, zalewem przez Islam Europy. Grozili przede wszystkim Węgrom i Serbii. To też, od stu lat prawie, ku Węgrom zwracali się oczy tych, którzy myśleli o wyparciu grozy tureckiej z Europy. Ale Węgry same nie przedstawiały dostatecznej siły. W złączeniu z Polską, nawet bez pomocy innych panów chrześcijańskich, były potęgą. Trzy czwartei wieku wcześniej Ludwik Wielki łączył korony polską i węgierską; wówczas też były projekty krucjaty, do której nie doszło. Teraz, w 1444 roku, Polska już zdążyła włączyć Litwę do zespołu państw chrześcijańskich, była w unii personalnej z Węgrami. Potęgą zdolną stawić czoło półkسیęzycowi.

Bitwa pod Warną nie przyniosła rozwiązania kwestii tureckiej. Dała chwilową przewagę Islamowi. Ale była wstępem do zorganizowanej wieloletniej walki, zakończącej triumfem krzyża nad półkسیęzycem.

Do dziejów Władysława III źródeł jest wiele. Najważniejszym z tych, które zajmują się wyprawą warną, jest list Andrzeja di Palaccia, farmaceutyka, który brał udział w bitwie i szczegółowo ją opisał. Z niego korzystał Długosz, całymi ustępami przepisując sprawozdanie wysłane do kardynała Mezzorotta, które znalazło w kopii posiadanej przez kancelarię Koniecpolskiego. Jednakże Długosz miał prócz tych wiadomości wiele innych, dziś już nam nie znanych, źródeł. A wiedział jeszcze wiele z tego co poprzedziło wyprawę warną i ogarniał to wszystko genialnym okiem historyka i polityka. Nigdy się dość Długosza nie ceni. Jeden z największych uczonych, jakich Rzym posłał do Polski, Garampini, nuncjusz za Stanisława Augusta, pisał o nim, jako o największym, po Tytusie Liwiuszu, historyku europejskim; a im lepiej się Długosza zna, tym bardziej się widzi, że nie ma w tych słowach Garampiego przesady.

Z Długosza korzystał Callimach. Właściwie tylko przepisał Długosza, w pompatycznym, czerocyniarskim stylu. Nie wiele wie po nim. Jednakże o bitwie warny Callimach miał swoje własne wiadomości. Szły one ciekawą drogą. Pochodziły od Leszka Bóbrzyckiego, rycerza, który w 1440 roku z Tęczyskim i Szamotulskim szedł w przedniej straży Władysława III, gdy młody król jechał obejmować królestwo węgierskie. Brał on potem udział w wyprawie warną. Był przy chorągwi biskupa Waradynu i został ranny na początku bitwy. Wrócił do Polski. Wnuczkę jego, znaną pod imieniem Fani, łączyła bliska przyjaźń z Callimachem. Pisywał o niej wiersze, a z opowiadań dziadka dowiedział się paru szczegółów o dawnych dziejach. Tylko, że działo się to już wówczas, gdy pan Bóbrzycki, po latach, mógł mieć tendencję do oddabiania wspomnień. Jakoś to jego opowiadanie o tym, jak brał on od niewoli hr. Cilli, przypomina w stylu, no powiedzmy, pana Zagłoby. W rezultacie Callimach nie wie wnoszą do sprawy.

Są jeszcze inne źródła. Znał je Szujski; Bonfini-Witoch, Turocz-Wegier, Huniarygo chwaleca, Saadeddin Effendi-Turek i inni Turcy, których przekazy zebrał Skówicki. Wszyscy coś do dziejów Warnycka wniesli. Nie znam ich wszystkich. To co napiszę, opiera się na Długoszu i prawie na nim. To niezawodnie brak dla rozprawy naukowej. Ale to przecie nie rozprawa nau-

kowa, tylko artykuł do tygodnika, dla przypomnienia pięćsetletniej rocznicy.

Nie sposób zapomnieć o pięknej postaci króla. Już to, że miał zaledwie dwadzieścia

lat, gdy zginął, przykuwa do niego sympatię. Dzieckiem zaczął panować. Królewskie rzemiosło polegało wówczas na objazdach Kraju, po zjazdach i sądach, by sprawy na

miejsu, w jego imieniu, z jego ramienia, w jego obecności załatwiać. Objeżdżał ten kraj mały król, ucząc się od małego dziecka rządów pod ręką Oleśnickiego i matki. Jeden ciekawy szczegół notuje Długosz w tym życiu: co rok, bez ustępstwa i zmiany, święta Bożego Narodzenia zbierał rodzinę królewską na Wawelu: co rok na Gwiazdękę mały król powraca na stary zamek, by tam z matką i bratem wigilię świętą spędzić. To święto rodzinne, gdy można, gdy trzeba zapomnieć o koronie i być zwykłym dzieckiem przy matce.

Z dziecka rośnie młodziem. Czternaście ma lat, gdy samodzielnie, jako pełnoletni rządzić zaczyna. Ale matka i Oleśnicki są przy nim niezmiennie. Warto są wzniośli projekty małżeństw, jakie dla młodego króla robiono. Król ma lat zaledwie trzynaście, gdy się zamierza wydać za o trzydziści lat starszą cesarową Barbarę, wdowa po Zygmuncie Luxemburskim. Potem, gdy król ma lat szesnaście swatają go z cesarową Elżbietą wówczas trzydziestoletnią; nie dochodzi do skutku ślad z tych małżeństw. Z kart Długosza coraz wyraźniej wygląda postać urzędowego młodego, pana, zapalonego do łowów sokolich, wiernego w przyjaciół dla rówieśników, głęboko rozumiejącego królewskie obowiązki, gotowego do osobistych poświęceń dla sprawy polskiej.

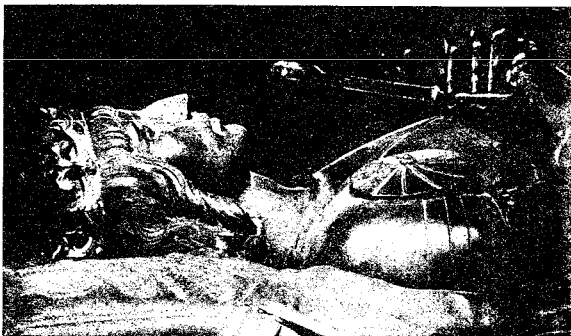
Długosz do końca go chwali; a mimo to w dalszym tekście Długosza znajdujemy wtrącony rozdział, pełen potwornych oskarżeń przeciw Warmeczcykowi. Wystarczy powiedzieć go z krótko: wiek inna stroną Długosza, by się przekonano o fałszerstwie. Zreszta nie ma tego wtrętu w najlepszych rękopisach Długosza; te późniejsze obelgi, te próby plugawego ośmieszenia postaci wielkiej i pięknej, sągnięcia jej do miary własnej, nie dadzą skutków; są one tylko jeszcze jednym potwierdzeniem wielkości. I w pamięci potomnych Władysław III zostanie tym wcieleniem piękna, jakim go widział twórca jego pomnika na Wawelu, Madeyski, tym wzorem rycerza, jakim go wysławiał wielki poeta Gundulich stęskniony w XVII w. do bohaterów, którzy uwalnili Stowian bałkańskich od jarzma Islamu.

Wyprawa warną była wyprawą Europy przeciw Islamowi. Była nią w teorii. Bo jedność Europy, jedność i zgoda panów chrześcijańskich! istniała wężym w zasadzie niż w praktyce. W każdym razie przejawiała się jeszcze. Ośrodkiem tej jedności był papież i w kóło niego skupiały się wszystkie wysiłki obronne.

W Polsce na pierwszy plan wysuwa się postać wielkiego, niedocenionego kardynała Oleśnickiego. Zaraz po śmierci Jagiellów, wraca on z drogi na sobor Bałżejski, by wraz z królową organizować rząd. Dużo by można było napisać o tej postaci na miarę największych mężów stanu Europy. Mimowoli nasuwa się porównanie z innym o dwa wieki późniejszym kardynałem, który stworzył wielkość Francji. Tylko, że inne miał warunki. Richelieu mógł uprząwieć we Francji politykę „du champ carré”, czworoboczno, ogrodzonego pola. Miał w kóło siebie osiadłych tak jak on sam sąsiadów. Oleśnicki miał Polskę na kresach chrześcijaństwa: na wschód od jego pola była polna dzika, plynne, wiecznie niespokojne półkociwonne plemiona; trzeba było tworzyć tam przeciwko zalewowi, prowadzić politykę przedmurza.

Zadawało się, że projekt stworzenia wielkiej obronnej federacji spieje się w grzy. Rok 1439 był rokiem klęski polityki Oleśnickiego. Nie powiodło się osadzenie młodego Kazimierza Jagiellończyka na tronie czeskim. Wewnątrz rósł bunt przeciwko twardej rządom kardynała, bunt wzmoc-

(Do: ożczenie na str. 7.)



Z pomnika Władysława III na Wawelu

MOWA DOWÓDCY 2. KORPUSU

w dniu 11. XI. 1944 r.

W dniu Święta Niepodległości 11 listopada w Predappio odbyło się uroczyste nabożeństwo, po którym Dowódca 2. Korpusu gen. dyw. Wł. Anders wygłosił następujące przemówienie do oddziałów Dywizji Kresowej:

„Z o inierze! Czy słyszeliście, jak wśród huku armat echo z ośmieszonych gó odpowiadało nam wyraźnie ostatnią zwrotkę naszej pieśni „Ojczyznę wolną raz nam wrócić Panie”. Dzisiaj słowa te powtarzają wszystkie Polacy rozrzucone po całym świecie. Dzisiaj w święto Niepodległości słowa te nabierają szczególnego wyrazu i większej mocy. Słowa te jak motywy szepczą usta polskie w Kraju. Słowa te szepczą więźniów w kazamatkach Gestapo i NKWD. I dlatego dzisiaj w 26 lat po odzyskaniu Niepodległości nie ma Polaka, któryby nie rozumiał wagi tych słów. 26 lat temu czynom oprzyliśmy zdobyliśmy Niepodległość. Bit się brat przeciw bratu, wepchnięciu w obcy mundur. Wszyscy czuli, że z tamtej wojny powstanie Polska. W tej wojnie znaleźliśmy się wszędzie, biliśmy się wszędzie. Boć każda chwila była przez każdego z nas wykorzystana, by się razem gromadzić. My żołnierze 2. Korpusu jesteśmy małą Polską. Większość nas przybyła z Rosji. Później przybyła do nas Dywizja Karpacka z kłopotem sławy Torbruku.

Pod Monte Cassino biliśmy się w najstraszliwej z bitew świata, która musi przejść do historii. Kiedyś tam walczyli, kiedyś tam krwawili, każdy z nas walczył i każdy z nas czuł, że walczy o Polskę. Wroga nam propaganda przez radio, prasę i przez płatnych agentów dowodziła, że gen. Anders i jego żołnierze są faszystami. Czujemy zbryzmowaliśmy się, nie udało nam się oszczerstwo. Pokazaliśmy światu, że bjęmy się z każdym, kto sięga po największą dla nas rzecz, po naszą wolność i niepodległość.

Żołnierze, idziemy tym samym szlakiem, wytyczonym przez naszą historię. I nie zboyczymy z niego. Żołnierze, czy nie jest żrącym łos, że w tym Predappio, zdobywamy przez Was, w mieście, w którym urodził się człowiek, znany z powiedzenia, że Polska przestaje istnieć, obchodzimy naszą rocznicę Niepodległości. Żołnierze czy nie jest żrącym łos, że w znanu u za Wasze czyny bojowe zostają odznaczone w Rzymie na Placu Wenecki, przed pałacem, z którego padły słowa „La Polonia e

liquidata” — najwyższym odznaczeniem amerykańskim przez wielkiego Prezydenta Roosevelta, którego ponownym wyborem cieszył się wszystkie serca polskie.

Żołnierze, wiele trudności przeżyliśmy i wiele jeszcze trudności piętrzy się przed nami, lecz do Polski wielkiej, niepodległej i suwerennej dojdziemy. Wiemy, że jeden z naszych wrogów, Niemcy, w 1945 r. będą całkowicie pobite i prawdopodobnie nigdy się nie podniosą. Wiemy jednak i wierzymy, że bez Polski nieskrzywdzonej nie będzie pokoju świata. Wiemy i wierzymy, że aliansi nasi — Wielka Brytania i Stany Zjednoczone — przy których boku walczyliśmy, pomogą nam w osiągnięciu celów, dla których od przeszło 5 lat naród polski krwawi z tysiącami ran. Wierzymy, że pomogą nam w odbudowie tak drogiego sercu każdego z nas Warszawy, której herb jest godłem 2. Korpusu. Polska jest tam, gdzie bije polskie serce, gdzie jest czyn i walka żołnierska. Bo tylko przez walkę, tylko przez krew, przez drogę ciernistą i trudną nie do Ojczyzny dojdzie możemy. My nie znamy różnicy. Dla nas tak samo cenny jest Śląsk jak Warszawa, jak Wilno, jak Pomorze, jak Lwów, jak Poznań.

Żołnierze Dywizji Kresowej! Jeżeli dzisiaj do Was mówię, do Was, którzyście te ośmieszono, groźne szczyty apenińskie zdobyli, to dlatego, że pokazaliście światu, iż nie ma takich przeszkód, takich rzek i takich gór, których w naszym marszu żołnierskim do Polski nie pokonamy. Na tej drodze, którą idziemy, dołączają do nas dziesiątki tysięcy Polaków, a wkrótce dołączą ich setki tysięcy. W naszym rzetelnym marszu do Polski towarzyszą nam nasi kolecy, którzy stoją teraz przed tronem Wschodzącego i mówią do nas „Pamiętajcie, że zginął za Polskę, która ma dać szczęście narodowi polskiemu”.

„W dzień święta Niepodległości przypominamy sobie wszystko, co nam drogie. Przypominamy sobie twarze naszych ojców, matek, braci i dzieci, przypominamy sobie wszystko, co nam Polska dała dobrego. Żołnierze! To, co myśliśmy w tej chwili, to co mamy w sercu najdroższym, najszerzej się łączymy teraz w jednym okrzyku: „Niech żyje Polska”.

Po przemówieniu Dowódcy Korpusu przemawiał Dowódca Dywizji Kresowej gen. Sulik. W obiedzie, który odbył się na zakończenie uroczystości, wziął udział Dowódca VIII Armii gen. Mc. Creery.

ST. STARZEWSKI

Amerykianie na Filipinach

W pierwszej fazie wojny z Japonią, kiedy niespodziewany atak japoński pozabawił Anglosasów ogromnej części floty i wszystkich baz w zachodniej części Pacyfiku (ściśle mówiąc w części przyjaźni), w wojskowych kołach angielskich potoczyła się szeroka dyskusja na planami prowadzenia wojny z Japonią. W dyskusji tej zarysowały się dwa skrajne obozy:

— jeden obóz reprezentował pogląd — zdawałoby się najprostsz — możliwie najszybszego i bezpośredniego zaatakowania samej Japonii z baz rosyjskich;

— drugi zaś kierunek, reprezentowany przez pewne koła lotnicze, wysunął koncepcję czysto lotniczą — zniszczenia głównych ośrodków przemysłu japońskiego przez zbombardowanie ich przy pomocy dalekosiężnej armady powietrznej, startującej wprost z baz amerykańskich, bez uprzedniego zdobywania báz pośrednich.

Pierwsza koncepcja, przyjmująca za podstawę akcji wojennej dalekowschodnie bazy rosyjskie, okazała się najtrudniejsza do zrealizowania.

Drugi plan — czysto powietrznej wojny z Japonią — formułował swoje tezy pod wrażeniem sukcesów lotnictwa niemieckiego i japońskiego. Zwolennicy tej koncepcji wyszli z założenia, że wskutek rozwoju lotnictwa nastąpił całkowity zmierzch dotychczasowej strategii morskiej, że wskutek tego nie ma sensu wydawać pieniędzy na pancerniki i lotniskowce, że przeciwnika można zniszczyć przez wyłączenie zaatakowania z powietrza.

Rzeczywiście nie potwierdziła słuszności tego poglądu. Pomijając fakt, że według obliczeń fachowców taka dalekosiężna armada lotnicza mogłaby być gotowa dopiero w r. 1945 — okazało się na przykładzie bombardowań ośrodków przemysłu niemieckiego, że można całkiem skutecznie ten przemysł zdecentralizować i schować pod ziemią, zabezpieczając w ten sposób jego regularne funkcjonowanie.

Morsko-lotnicza potęga aliantów na D. Wschodzie

Poza tym przykład ogromnych desantów na półkuli zachodniej, kombinowanych akcji morsko-lotniczo-naziemnych, zapoczątkowanych pierwszym desantem anglosaskim w Afryce, utrwalili pogląd, że i do akcji na Dalekim Wschodzie należy zastosować strategię, polegającą na współdziałaniu lotnictwa z marynarką i organizacją báz pośrednich, umożliwiających nie tylko bombardowanie, ale i kolejną okupację terenów nieprzyjacielskich.

Zrealizowanie tego planu na bezkrotnych obszarach Pacyfiku mogło nastąpić dopiero po gigantycznych osiągnięciach produkcji Stanów Zjednoczonych w dziedzinie budownictwa okrętów i aparatów lotniczych.

Na Pacyfiku działają w tej chwili trzy amerykańskie floty wojenne, z których podobno każda może sama przeciwstawić się i atakować całą flotę japońską! Oczywiście, floty te dysponują i odpowiednio wielkim lotnictwem, działającym z lotniskowców, báz lądowych na wyspach Oceanu Spokojnego i z dalekich báz położonych na kontynencie azjatyckim, głęboko w Chinach. Te ostatnie stanowią oparcie dla działalności superfortec latających B-29, których produkcja wzrasta w coraz gwałtowniejszym tempie.

Bitwy o Sajpon, Guam i N. Gwineę

Wielka akcja ofensywna morsko-powietrznych sił amerykańskich przeciwko Japonii rozwinęła się w dwóch kierunkach zasadniczych: od Wysp Hawajskich w kierunku zachodnim na Archipeląg Mariański i od Australii poprzez wyspy mór, południowych ku Nowej Gwinei. Na pierwszym odcinku działaniami wojennymi kieruje admirał Nimitz, na drugim gen. Mac Arthur. Obydwa działania zdziżyły ku Filipinom, skąd już dalsza akcja toczyć się będzie wspólnie.

Działania desantowe pod dowództwem adm. Nimitza przyniosły Amerykanom dwa wielkie sukcesy: zajęcie wyspy Sajpon i odzyskanie okupowanej przez Japończyków na początku wojny amerykańskiej wyspy Guam. Walki o wyspę Sajpon miały przebieg gwałtowny i zacięły, była to bowiem pierwsza wyspa zamieszkała przez ludność japońską, która znalazła się w orbitie alianckich działań wojennych.

Bitwy o te dwie wyspy wykazały wysoką wartość bojową oddziałów amerykańskich i znakomitą organizację techniczną akcji desantowej.

Gen. Mac Arthur opanował ważne bazy

japońskie na Nowej Gwinei i archipeląg wysp położonych bardziej na północ. Te właśnie obszary stały się podstawową bazą dla desantu na Filipinach.

Flota brytyjska płynie na Pacyfik

Krótkie obok floty amerykańskiej w działaniach dalekowschodnich weźmie udział i flota brytyjska.

Z okazji londyńskiego obchodu rocznicy bitwy pod Trafalgar, minister A. W. Aleksander, pierwszy lord admirałceji, podał do publicznej wiadomości, że część „Wielkiej Floty Brytyjskiej” skierowana została na Pacyfik. „Plan jest jasny — powiedział przy tej okazji min. Aleksander — droga jest otwarta. Ostatecznie my i nasz wielki sprzymierzeniec amerykański musimy uzyskać pełną kontrolę na morzach przeciwko Japonii”.

Amerykianie powracają na Filipiny

Zgromadziwszy tak potężne siły alianckie przeprowadzili w październiku wielką operację desantową na Filipinach. Operacja ta należy będzie niewątpliwie do największych działań wojennych tego rodzaju w historii obecnej wojny.

Dnia 13 października 600 rozmaitych jednostek morskich amerykańskich i australijskich — wypłynęło z portów Nowej Gwinei udając się w 1.300 milową podróż w kierunku Filipin. Tą nie widzianą dotychczas na wodach Pacyfiku potężną armadą dowodził wiceadmirał T. C. Kincaid, najwyższe zaś dowództwo całej operacji spoczywało w rękach generała Mac Arthura.

Ażeby tak wielkiej flocie zapewnić bezpieczeństwo w czasie tak długiej drogi i umożliwić powodzenie zamierzonej akcji desantowej, zaatakowano równocześnie Japończyków na przestrzeni od Kuryłów do Oceanu Indyjskiego. Superfortece B-29 odbyły tysiącimile loty z Gulfu Chin atakując cel w Japonii — wielka bitwa morsko-powietrzna wiążeła siły japońskie, które ewentualnie mogłyby były skierowane przeciwko flocie desantowej rozegranej się na wodach Formozy. W tym samym czasie flota brytyjska Oceanu Indyjskiego zaatakowała morskie siły japońskie w okolicy wysp Nikobary. Wszystkie te bitwy stanowiły w rzeczywistości poszczególne ognia jednej wielkiej wspólnej akcji, której wyniki nie mogą być osądzone na podstawie strat poniesionych przez sprzymierzonec tu czy tam. Celem tych bitew było wzięcie jak największych sił nieprzyjacielskich i zapewnienie w ten sposób osiągnięcia celu głównego całej operacji: wysadzenia desantu na Filipinach. Cel ten został osiągnięty.

Lądowanie odbyło się na wyspie Leyte, gdzie wysadzone około 100.000 wojska.

Z okazji tego zwycięstwa prezydent Roosevelt i podsekretarz stanu Cordell Hull złożyli oświadczenia, potwierdzające decyzje Stanów Zjednoczonych udzielenia Filipinom wolności i niezależności.

Wraz z wojskami amerykańskimi wyładowano na Filipinach prezydent tego kraju Sergio Osmena. W mieście Tacloban (wyspa Leyte) powołano do życia nowy rząd, generał Mac Arthur w urzędysty formie ogłosił powrót na te tereny prawowitej władzy. Wszystkie zarządzenia projaapońskiego rządu filipińskiego zostały unieważnione.

W depezy skierowanej do gen. Mac Arthura Roosevelta oświadczył: „Pańskiemu i pańskich żołnierzy sukcesowi na powrotnej drodze do Baatan towarzyszą gratulacje i modlitwy narodu”.

Lądowanie Amerykanów na Filipinach jest ich wielkim zwycięstwem politycznym i strategicznym.

W swoim komunikacie generał Mac Arthur w następujących słowach określił militarne znaczenie tego zwycięstwa:

„Nieprzyjacielska strefa współdziałania (tzn. obszary zorganizowane przez Japończyków i włączone do żywej sfery japońskiej — red.), została przecięta na dwie części. Wyspy i atole leżące na południu, Indie Holenderskie i brytyjskie posiadłości na Borneo, Malajach i w Burmie utraciły łączność z Japonią, a wielka arteria komunikacyjna i zaopatrzeniowa dla podstawowego przemysłu wojennego Japonii została zagrożona przecięciem”.

Japończycy przygotowują obronę w brzozy chińskich

Japończycy liczą się poważnie z możliwością desantu alianckiego bezpośrednio na kontynent azjatycki. Przypuszczalnie nastąpi on po uświadzeniu się sprzymierzonych na głównych wyspach filipińskich. Biorąc tę możliwość pod uwagę, Japończycy rozpoczęli pośpiesznie przygotowania do odparcia lądowania alianckiego na wybrzeżu chińskim. Z chińskich ród japońskich donoszą o budowie przez Japończyków fortyfikacji pomiędzy zatoką Hengchow i Szanghajem.

Oceniając ostatnie wydarzenia na Pacyfiku trzeba pamiętać o podstawowym założeniu japońskiego planu wojennego. Admirał Japoński sądził, że uda się jej pokonać samych Amerykanów przed powrotem na Pacyfik „Wielkiej Floty Brytyjskiej”. Rozstrzygnięcia tego Japończycy nie uzyskali, natomiast flota brytyjska zwolniona z europejskich teatrów wojny płynie na wody japońskie...

Działania wojenne na kontynencie azjatyckim

Na kontynencie azjatyckim Japończycy od wiosny tego roku, bezpośrednio po zawarciu paktu z Rosją w sprawie Sachalinu, przetrzuli na front chiński milionową armię i podjęli działania ofensywne. W rezultacie tej kilkumiesięcznej ofensywy Japończycy opanowali linię kolejową Pekin-Hankow-Kanton, cały obszar przybrzeżny położony na zachód od tej linii, zajęli ostatni pozostający dotychczas w rękę chińskiego port Foochow oraz amerykańskie bazy lotnicze pod Hengyan (prowincja Hunan) i Kweilin. Niektóre korespondencyjne wojenni wyrażają przypuszczenie, że ofensywa japońska rozwinięta się dalej w kierunku zachodnim i zdążyć będzie do opanowania stolicy niezależnych Chin.

Natomiast na terenie Burmy nie udało się Japończykom próba wdarcia się do Indii i przecięcia dróg w dolinie rzeki Bramaputry. Sprzymierzeniec odparli atak japoński na Indie i oczyścili duży obszar pld. Burmy. Co w konsekwencji doprowadziło do nawązania bezpośredniej łączności z Chinami. Kilkuletnia japońska blokada Chin została na odcinku burmeskim przetrwana.

Komunikacja z Chinami została nawiązana wzdłuż drogi prowadzącej z Kalkuty

doliną Bramaputry (indyjska prowincja Asam) i łączącej się gdzieś na terenie północnej Burmy, czy też Chin ze starą drogą burmańską. Odcinek tej drogi w bardzo trudnym, górzystym terenie pld. Burmy został wybudowany niedawno przez inżynierów amerykańskich, natomiast łącznie z drogą burmańską jest w trakcie budowy.

Jeśli zestawimy ofensywę japońską na kontynencie z atakami sprzymierzonych na Filipiny, to przede wszystkim nasuwa się przypuszczenie, że Japończycy licząc się z możliwością tego ataku, chcieli opanowanie całego wybrzeża chińskiego i linii kolejowej Pekin-Kanton uzyskać łądowe połączenie poprzez Półwysep Malajski z Indiami Holenderskimi i w ten sposób zapewnić sobie niekontrolowaną przez bazy filipińskie drogę zaopatrzenia czy też odwrótu swych wojsk z wysp mór południowych.

Być może, że to jest zasadniczy motyw wielkiej ofensywy japońskiej na kontynencie, ale z drugiej strony pamiętać należy, że Japończycy oddawna usiłują zlikwidować Chinę Czang-Kai-Szeka. Robili to drogą powoływania do życia chińskich rządów projaapońskich i bezwzględnej blokady. Gdy jednak mimo to Chiny broniły się dalej i gdy na terenach obecnie przez Japończyków zajętych Amerykanie zorganizowały bazy dla swoich superfortec latających — Japończycy postanowili zaatakować Chinę jeszcze raz bezpośrednio.

Odkładamy do osobnego omówienia sprawę w jakim stopniu operacje wojenne na kontynencie azjatyckim wpłynęły na sytuację Chin. Jest to problem obszerny i właściwie w tej chwili całkiem nie wojskowy, gdyż Chiny jako czynnik militarny nie wiele dzisiaj reprezentują. Natomiast na terenie tego ogromnego kraju występują z coraz większą jaskrawością, te same zasadnicze przeciwieństwa w obszarze sprzymierzonych, jakie rozwinęły się ostatnio na terenie Europy oraz Bliskiego i Środkowego Wschodu.

■
Już po napisaniu powyższego przeglądu zaszło na Dalekim Wschodzie wiele nowych doniosłych wydarzeń, z posród których dwa zasługują na szczególne podkreślenie.

Kłeska Chińczyków i zajęcie przez Japończyków Kweilinu wywołało poważny kryzys wewnętrzny w Chinach i w ich stosunkach z Ameryką Waszyngton odwołał z dowódcą frontu indo-burmesko-chińskiego gen. J. W. Stilwell, a ambasador amerykański w Chinach, Clarence E. Gauss, ustąpił z zajmowanego stanowiska.

Przeżyła konflikt, który znalazł aż tak jaskrawy wyraz, leży w dużej rozbieżności poglądów między kierownictwem narodowych Chin i Waszyngtonem na metodę prowadzenia wojny.

Chińczycy domagali się od dawna wzmocnienia ich potencjału wojennego drogą rozbudowy przemysłu na zachodzie Chin, natomiast Amerykanie większą wagę przywiązywali do uzyskania pomocy rosyjskiej, co ułatwiłoby ich zdaniem, zarówno bezpośrednio akcję przeciwko Japonii, jak i dowóz zaopatrzenia i uzbrojenia amerykańskiego do Chin.

Dla wyjaśnienia tej wysokie skomplikowanej sytuacji Waszyngton wysłał do Chin specjalną misję pod kierownictwem b. szefa Wydziału Produkcji Wojennej, Nelsona, który miał przygotować plany organizacji chińskiego przemysłu wojennego. Jego współpracownikiem, gen. Patrick J. Hurley powierzone misję zjednoczenia chińskich wojsk komunistycznych z wojskami Czang Kai Szeka pod wspólnym dowództwem amerykańskim. Rokowanie w tej ostatniej sprawie zostały zerwane na skutek żądania przez Czang - Kai - SzeKa odwołania gen. Stilwella.

Z okazji rocznicy rewolucji rosyjskiej, Stalin wygłosił mowę, w której po raz pierwszy w okresie wojny zaatakował Japonię, nazywając ją, na równi z Niemcami, państwem agresywnym. Równocześnie prasa rosyjska („Wojna i kłosa rolnicza”) zamieściła artykuły omawiające krytycznie wojenne położenie Japonii.

Odczytały się również w prasie rosyjskiej nuty wspomnień bohaterów obrony Port Artura. Ktoś pamięć — jak twierdził obecnie Moskale — była natchnieniem dla bohaterów obrony Sewastopola w obecnej wojnie.

Te wystąpienia rosyjskie komentowane są w prasie alianckiej jako zapowiedź uaktywnienia polityki rosyjskiej na Pacyfiku. Amerykanie zaś budują na nich nowe nadzieje bardziej czynnej pomocy ze strony Rosji przeciwko Japonii.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

KATARYNKA

W mieście zniszczonym (ruiny, Rozbita wieża nad rynkiem),
Ktoś przyniósł do swej drużyny
Stara jak świat katarynkę.

Płyły w niej były blaszane,
Mazurki pokryte kurzem,
Melodia z „Blaue Husaren”
I tango „Jesienne różę”.

Przypominała, jarmarki
Z kartucel tańczącą siną,
Z piernikiem słodkim i twardym,
Z ciągnącą losy papuga.

Mówiła o wiosce śpiewnej,
O perkalkach niedrogich,
Było z nią bardzo rzewnie
Zabrali ją w dalszą drogę.

Obracał się dysk blaszany
Toczył w siłownice znaki,
W urwany szępek tomny - gun'ow,
W wojenne włoskie biwaki.

Przyzwyczailli się strzelcy
Do sennej nut monotonii,

Do kłujawiaków i wałów,
Nigdy nie zakończonych.

...Aż w odplyw nocy strwożonej,
Grzmiejącej ogniewą nawałą,
Gdy nikt nie upadł pod zehronem
I nie się nikomu nie stało,

Cheć ktoś postuchał gawota
I okazało się rankiem,
Ze katarynkę zdruzgotał
Szwajczerzy niemiecki szrapnel,

Zapadła cisza w drużynie
I głosił tylko szwerczer brzączal.
Ze grzytem w katarynce
Pękają blaszane serce.

Strzelcy rozeszli się z wolna
Z powozem, żołnierskim żalcom.
Strzyżyna została na polu,
A oni ruszyli dalej.

I tylko czasami któryś
Wspomina o niej przez chwilę,
Kataryniarski motyw
Gwizdząc starego kadryla.

T. F. ROZMOWA DWU POKOLEŃ

Spotkali się po raz pierwszy na Kałymie. Wszystko zdawało się ich różnić. Piotr miał już ponad czterdzieści, Jan lat dwa-dziesiąt. Piotr był oficerem zawodowym rozmontowanym w swym fachu, Jan studentem politechniki, bardzo krytycznie odnoszącym się — zwłaszcza po jesieni 1939 r. do oficerów w ogóle, a do oficerów starszych w szczególności. Piotr był legjonistą, pilsudczykkiem z głębokiego przekonania, Jan jednym z przewodzących młodzieży opozycyjnej, ślepo wierzącej w każde słowo „Hymnu Młodych” i nienawidzącej z całego serca „rczymu”. Piotr był spokojny, długo ważył słowo nim je wypowiedział, Jan zapalny, szybki w sądach, porwycwy w czynach.

A jednak — jak to często bywa, gdy spadnie maska i gdy niedoła odstania istotę duszy — dwaj ci ludzie dziwnie do siebie przynęgnęli. Jan młodsz, silniejszy, często pomagał Piotrowi odrabiać „normę”. Piotr autorytetem swym nieraz bronił Jana przed współtowarzyszami niedoli, opiekował się nim, jak matka, gdy Jan zachorował, skrycie dzielił się z nim ostatnim kawałkiem chleba. Wieczorem często dzielili ich porząca dyskusja, rankiem silny uścisłk dłoni kazał zapominać o wczorajszym sporze, a zacieka walka o utrzymanie godności w poniżeniu i podtrzymanie w towarzyszach niedoli wiary w Polskę połączyła ich nierozdzielalnym węzłem przynięgni.

Po niej życie ich rozdzieliło. Spotykali się tu i ówdzie przelotnie, aż dopiero niedawno niespodzianie urzędzi się z radością w jednym z miast wśkich. Jan, ranny pod Monte Casino, właśnie wracał ze szpitala. Wspólna „uczela” uczęliła to szczęśliwe spotkanie, a wieczorem Piotr i Jan zasiedli przy lampce wina, patrząc na słońce, nurzające się już w falach Adriatyku i rzucające łagodną czerwień na pobliskie winniamy pokryte stoki.

I tak zaczęła się ich rozmowa.

PIOTR — Cieszę się, że widzę cię zdrowym i w moją ci osobiście pogratulować nowej gwiazdki.

JAN — Nowej? Przecież pisałem ci, że dostałem ją jeszcze przed Cassino. To chyba wiek już minął.

PIOTR — Niech i tak będzie. Obaj mierzmy czas inną miarą. Ty niecierpliwieścią młodzieży, ja okresem lat przylżytych. O co innego jednak chciałem cię zapytać. Pamiętam, gdy byłeś podchorążym i gdy „wielki ciele” — jak mówiłeś — nie mógł doczekać się awansu na oficera. Stomuszek twój do oficerów był niezmiernie krytyczny. Stawiałeś niedocen zarzut, często słuszny, często zbyt pochopny, wtedy czuło się się nie podobano, wiele razy. Czy obecnie, gdy sam wszedłeś w szeregi oficerskie, nie zmienić sądu.

JAN — Nowej? Przecież pisałem ci, że kim „rudem” zruszą uzyskana, zdola zmienić moje przekonania i zmusić mnie do zamykania oczu na to, co uważam za słabość i brak charakteru na to. Owe, Teraz, gdy sam poczułem na barkach swoich brzemień wielkiej odpowiedzialności, tym bardziej chciałbym, by waga jej zrozumieć wszyscy moi koleżdy i do jej ciężaru dostosowali swoje życie osobiste. Ja przynajmniej o to będę się starał.

PIOTR — I popamiętaj będziesz masę innych błędów, które twoi podkomendni również ostro będą krytykowali, jak ty krytykować będziesz błędy swoich przełożonych.

JAN — Być może. Muszę ci jednak przyznać, że nowy miast stan mnie upaja. Nie posiadają mnie o snobizm gwiazdki. Ale, gdy szedłem na czele plutonu, gdy poczułem, że moja wola żoibi bęć wypadków, gdy widziałem oczu nich żołnierzy na mnie skierowane, zrozumiałem, że ode mnie i mego przykłada zależy ich los i wykonanie zadania, gdy stłumilem w sobie lęk i wysiłkiem woli zmusiłem się do trwałego myślenia mimo pękła ognia — wtedy poczułem się naprawdę mężczyzną, bojownikiem i odczułem jakąś dziwną, nieznaną, niezmierną wprost rozkosz, której z nikim porównać się nie da. I rozkoszy tej, jaką jest dowodzenie w walce, nie oddałbym za żadne skarby.

PIOTR — Wiedziałam, że tak będzie. I ja ongiś, w twoim wieku to przeżywałem. W krwój twej drzemaj przecieć wiekowe tradycje rycerskiego narodu.

Czy jednak wobec tego plany twoje na przyszłość nie uległy zmianie. Chciałeś przecieć po wojnie kontynuować politechnikę i stałe przy sobie wozieć z trudem zdobytą w Palestynie książykę o wytrzymałości tworzyw.

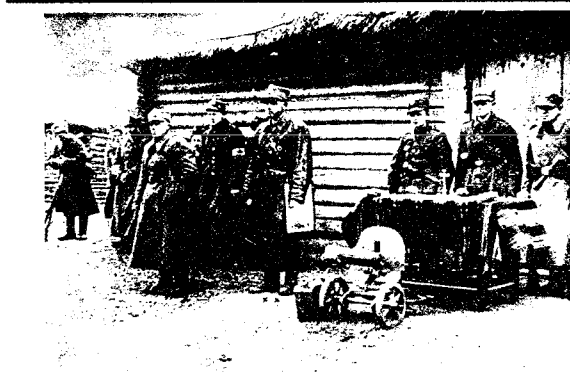
JAN — Nie wiem — z tobą będąc szczyry — naprawdę nie wiem. Z jednej strony marzą mi się wielkie fabryki, wspaniałe

konstrukcje, śmiałe rzuty, wynoszące technikę polską na czoło techniki świata... PIOTR — Tak zaczynało już być przed 1939 rokiem.

JAN — Nie przerywać z tą wieczną twą chwałką przeszłości. Ja patrząc wprzód, nie oglądając się wstecz i o przeszłość nie chcę się z tobą spierać. Wracam więc do rzeczy. Tak, marzy mi się technika, ale rozumieć doskonale, że dla Polski rzeczą najważniejszą to wojsko. Coż z tego, że wspaniale urządził nasz dom, że zakwitnie nauka, przemysł, rolnictwo, handel — gdy wróg w każdej chwili wdrzeć się będzie mógł do naszych brzegów. Trudno — nie dzieli nas od świata morze, jak Anglię, i złudzenie wiecznego pokoju z cudzej gwarancji dla nas byłoby śmiercią. Jedynie nasza własna siła jest gwarancją naszego rozwoju.

Ale mimo to masz rację. Nie nasze, a wasze pokolenie tworzyć będzie przyszłe wojsko polskie. Poprostu dla tego, że nas jest za mało. Katyń i Oświęcim, niemieckie Oflagi, obozy, kaźnie, rozstrzeliwania, sowieckie więzienia i zsyłki — wszystko to zniszczyło conajmniej 9/10 elementu inteligentnego naszego pokolenia. Widocznie nie było ono tak zle dla Polski, skoro je wróg tak bezlitośnie tępił.

Z tego, co zostało, wielu jest schorzałych, wielu zniszczonych przeżyłymi trudami, wielu już prawie niezdolnych do trudu, wielu ma umysł, na skutek wieki i przeżytych trudów, skostniały, tak że tych, którzy mogli by jeszcze z użytkiem dla wojska pracować po wojnie została tylko garść — na potrzeby wielkiej armii polskiej jakże nikła. Na was było istotnie spadnie cały ciężar odbudowy.



Zotuzerze Armu Krajowej z 77 i 78 pułku piechoty Rok 1944 w okolicach Nowogrodka

PIOTR — Skazani jesteście w towarzystwie — jak powiedział Józef Pilsudski.

JAN — I powiedział słusznie. Niczymi miał jego epigonowie nie umieli zrozumieć jego słów i kazali nam, młodym, patrzeć się na niego przez ich krzywe zwierciadło. Tak, słusznie, nie ma Polski bez silnego wojska. A kto ma wojsko budować? Chyba nie wy, coście przegrali w 1939 roku. Nie irytuj się. Wier, co chcesz powiedzieć. Czytałem wiele, myślałem wiele, daż już rok 1939 przedstawia mi się inaczej, niż w pierwszych, gorączką głęską zaprawionych sądach. Rozumieć wartość polskiego wysiłku zbrojnego w 1939 roku i wkład jego we wspólne zwycięstwo sprzymierzonych. Ale dla nas — i nikt na to już nie poradzi — zostanie zawsze pokoleniem głęsk 1939 roku, ludźmi którzy noszą na sobie ciężar przegranej. I dziecinę wyjątki, które widzimy, które wysoko cenimy i których przywództwo chętnie się poddajemy, nie potrafia przesłonić przed nami obrazu waszych „leśnych dziadków”, waszych sporów które nas nie interesują, waszych wad i przywar, które bacznie obserwujemy i które tymbarczyli nas przekonują, że nie wy, a my budować będziemy przyszłość Polski i jej wojska.

PIOTR — Ciągłe „wy i my”. Spiewasz Janie przebrzmiała pieśń. Walka dwu pokoleń, zrozumiała przed wojną, dziś, gdy i was i nas jest tragicznie za mało — nie w wąskich ramach obecnego naszego życia, ale dla przyszłej odbudowy Polski — jest naprawdę bolesnym przeżytkiem, o którym czas już zapomnieć. Mówisz o naszych wadach i przywarach. Ale jeśli doznasz spełnienia, przekonaasz się że nie są to wyjątki. Weź dla przykładu dobrych Twoich znajomych, kpt S., mjr. J., plk. Z. — czy masz im coś do zarzucenia?

JAN — Nie, pełen jestem dla nich podziwem i szacunkiem. Ale to wyjątki.

PIOTR — Takich wyjątków ty wyliczysz wielu, inny znów pód garść, a gdy się razem ich zbierze, to okaże się, że stanowią oni większość, obrzniętą większość, o której tylko nikt nie wie, bo jak zwykle dobro eicho kryje się w cieniu, a zło bęć w oczu. A ponadto — wiesz mi, znam wiele krajów i wiele wojsk — te objawy ujemne, które tak nas wszystkich w życie naszym razi, są w wojsku polskim znaczenie mniej i znacznie słabsze, niż w wojskach obcych, które — z tak częstym u nas kompleksem „cudze chwalicie” — bezkrytycznie wywyższają ponad siebie. Trzeba się z tym pogodzić, że ludzie nie są aniołami, i że czysto Bóg święte tworzy dzieła rękoma bynajmniej nie świętymi. Wczytaj się dobrze w historię, a przekonasz się, że tak zawsze było i dawniej.

To też, jeżeli — jak zrozumiałem z twoich słów — masz po wojnie zamiar pozostać w wojsku, to sercem całym cię do tego zachęcam, oczywiście, jeśli kieruje tobą szczerze zamiowanie do wojska, a nie tylko poszukiwanie łatwizny życiowej.

JAN — Co za obraźliwe posiadzenia! PIOTR — Nie gniewaj się. Wielu z moich kolegów pozostało po przedniej wojnie w wojsku, bo w życiu cywilnym czekała ich ciężka praca dla zdobycia stanowiska, lata nauki, a tu zdawało im się — mają stanowisko gotowe, ciepłe miejsce, gdzie można żyć wesoło i bez wysiłku. Zły był to nabytek dla wojska i nie długo w wojsku zrzagali miejsca. Wojsko w czasie pokoju, to ciężki trud, twarda służba, niestanna praca nad sobą, ciągła nauka. I wiele trzeba mieć zamiłowania i mocny trzeba mieć charakter, by poprzez szarżę życia garnizonowego nie stracić z oczu celu ostatecznego.

JAN — Nie sądzi, że mnie zniechęcasz, mająjąc trudności. Mylisz się, przecieć życie bez zwalczania przeciwności bezładnie byloby nudne.

PIOTR — Tak, dobrego konia widok przeskoczył zawsze podnieca.

JAN — Istotnie, ciągnę mnie służba wojskowa, żał mi tylko wciąż jeszcze przerwanych studiów.

PIOTR — Sprzeczenie jest tylko pozór. Wojsko nowoczesne, wojsko na wskroś techniczne, tyłu potrzebując specjalistów, tyłu oficerów, liniowych, czy dyplomowanych, mających głębokie studia cywilne, że każdy oficer, który zechce studia skończyć, napewno będzie miał ku temu sposobność. Przecieć i po wojnie przedniej ówczesny minister spraw wojskowych, gen. Sosnkowski, zorganizował odkomenderowanie oficerów na studia. Sądzę, że po wojnie obecnej jeszcze silniejszy poloży się nacisk na umódlwienie oficerom studiów, bo im wyższy intelektualny poziom korpusu oficerskiego, tym jaśniejsza przyszłość wojska.

To też rzucanie w kąt książykę, wyco w wojsku zostac chęćcie i — nie gardząc od czasu do czasu kieliskiem w zanej kompanii — pamiętając, że nie odporność na alkohol, ale łęty charakter i wysoka wiedza są cechą dobrego oficera.

JAN — Wpadasz w ton moralizatorski. Dziwnie przypominasz mi ojca, co młode lata roztrwonił na hulankach, a obecnie gorąco poucza syna, by młodość spędził emulwie.

PIOTR — Nie rozumiem.

JAN — Tak, nam głuskie twardą pracę, konieczność nauki, a sami bez wysiłku, w galopie niejako, skakalście ze stopnia na stopień, usuwając wszystkie, co wam słało

na drodze. Z waszego pokolenia, byli trzydziestolotni generałowie, niepełnoletni starszowie.

PIOTR — Poruszasz temat, który mnie w różnyśnianiach moich najbardziej boli, w którym widzę największe zło mego pokolenia, zarodek przyszłych klęsk, jeżeli i wy pojdzicie naszym śladem.

JAN — Rozumiem. Wasza kurczowa chęć utrzymania się przy władzy, wasza starcza zazdrość w stosunku do bujnie rozwijającej młodości chciały powstrzymać nasz pęd naprzód i związać nas pętaami przez was wymaginowanych niebezpieczeństw.

PIOTR — Niesłusznie mnie posiadzasz. Mówilem ci już, że wylępnieć przez wrogość całego nieomał zastępu kierowniczych ster narodu polskiego otwiera przed wami perspektywę, o jakich nam nawet nie śniło się. Chodzi tylko o to, byście w drodze tej zdolał zachować wysoką cenę umiaru, która nieestety nie była udziałem mego pokolenia.

JAN — Nic mówileś tego wtedy, gdyś w ciągu roku trzy przeskończył stopnie.

PIOTR — Masz rację, nie mówilem. Ale byli mądrzejsi ode mnie, którzy trzewiej patrzyli na to, co się dzieje. Pamiętam, jesienią 1920 r. spotkałem na ulicy w Warszawie jednego z najmądrzejszych naszych generałów piechoty i gratulowałem mu świętego awansu. Skrocył na mnie z oburzeniem. „Niech mi pan nie gratuluje. To skandal. Ja na awans powiniennem być zacekać 5 lat, a nie awansować teraz. Kłopoty grób dla wojska polskiego”.

JAN — Nie mogę zrozumieć, o co mu chodziło.

PIOTR — I ja wtedy zrozumieć nie mogłem. Dziś widzę aż nadto jasno. Wielu naszych młodych generałów i pułkowników, co przez kilka nieraz przeskakując stopni doszli do wysokich stanowisk raczej dzięki koniunkturze, niż przygotowaniu do nowej pracy, uwieryło we własny geniusz i spoćzło na laurach. Nie mieli bodźca do pracy nad sobą, u wielu węc miejsce pracy zająta chęć użycia i łatwizny. Wiara we własną wielkość zrodziła pogardę dla drugich. Pocó studiować, co, piszą inni, rzuć mędrkownię swoi i oby, gdy ja sam wszystkim wiem najlepiej. W ilu to miejscach zapanowało cacykownstwo, pomiatanie niższymi, żądanie bezwzględne uznania dla swego autorytetu, a równocześnie niechęć do podważania się autorytetu drugiego. Ile to razy oficer, przychodząc do pułku musiał starannie się informować, jakie poglądy na tu inspekcjonujący generał, bo to, co jeden inspektor uważał za zaszczyt mądrości, dla drugiego było otcianją głupoty. Zapamiętaj się wa właśnie zasług; z 1920 roku przystawiano wszystkim, co się tymczasem zmieniło na świecie i każdy argument rzeczowy miadażono słowami „kiedy ja w roku 1920 pod.” każda nowa myśl, każdy postęp techniczny, napatykł na tak silne opory, że ludzom którzy widzieli co się dzieje, dęć ręce nieraz opadały z rozpaczy. Na tym le, wyrosły: lekceważenie dla wiedzy fachowej i dla nauki, wiara, że „człowiek z krzypą” ze wszystkim da sobie radę. Tu jest rdzito owego „kultu niekompetencji”, któryćcie tak słusznie nam wyrzucali.

Nie lepiej było i w innych dziedach. Węzły ten, który ci jest najbliższy. Ilu miałeś profesorów, naprawdę godnych tej nazwy. Przykroć dziś o tym mówić, gdy większość z nich Niemcy wymordowali tak okrutnie. Ale przypomnij sobie — wszak młodzież zawsze najlepiej ocenia swych nauczycieli. Czy obok wybitnych uczonych o światowej sławie, luminary nauki, nie było ludzi, którzy przez 20 lat z roku na rok powtarzali ten sam wykład i nie napisali ani jednej pracy naukowej.

JAN — Masz rację. Przypominam sobie i takiego, o którym mówione, że najlepiej zdawał u niego po wakacjach. Przed wakacjami bowiem coś niecoś zostało mu jeszcze w głowie z własnego wykładu, zaprote ferie natomiast wszystko już zdolał zapomnieć.

PIOTR — Widzieli najlepiej. A gdzie ródno tego? Oto w chwili, gdy rozbudowywano nasze wyże uczelnie, tytuły profesorskie nadano — z braku lepszych — wielu takim, którzy na dobrą sprawę długo jeszcze na tytuł ten powinni byli by pracować. I oni też wyczerzy we własny geniusz i spoćzali na laurach.

Ze zgrozą też myślę, co po obecnej wojnie będzie jeszcze poraż. Za naszych czasów było wielu oficerów z wieloletnim doświadczeniem wojny, licznymi oficerowie wojsk zaborczych, wśród nich szereg ludzi,

I. F.

ROZMOWA DWU POKOLEŃ

(Dokończenie ze str. 3)

którzy ponieśli dla rozwoju wojska polskiego nieocenione usługi. Mieliśmy licznych profesorów na uniwersytetach zagranicznych, zastępy całe inżynierów w przemyśle obcym, mieliśmy w Małopolsce cztery wyższe uczelnie, w Warszawie nieocenioną Szkołę Wawelberga, a od 1917 roku uniwersytet i politechnikę, mieliśmy w Małopolsce i Kongresówce szeroko rozbudowane polskie szkolnictwo średnie. A jednak ludzi było stanowczo za mało.

A dziś, 10.000 oficerów zgineło w Katiniu, conajmniej drugich tyłu, jeśli nie więcej, w więzieniach i tagarach sowieckich, a iluż zmarło w niewoli niemieckiej, iluż zakatowano w Oświęcimiu i Majdanku, rozstrzelano przy różnych okazjach? Jak liczne są zastępy tych, co padli w szeregach Armii Krajowej, nie mówiąc już o tych, co w naszym zginęli Korpusie.

Profesorów naszych nieomal doszczętnie wymordowali Niemcy przy wydatnej pomocy ich ówczesnych sprzymierzeńców. To samo z nauczycielstwem, wolnymi zawodami, urzędnikami. Pasje niszczenia z obu stron godnie podały sobie rękę.

W kraju szkoły — nawet średnie — szósty już rok nie pracują. A to, co robimy w Londynie i Afryce, oraz ofiarne wysiłki naszego wojska z jego szkołami junaków, z jego gimnazjum karpackim na froncie, to niestety tylko kropla w morzu naszych potrzeb.

To też każdy z was będzie musiał brać się do rzeczy, do których nie dorosł ani wiedzą, ani doświadczeniem.

JAN — Tak było i za waszych czasów i jakoście dali sobie radę.

PIOTR — Ale jakim kosztem. Skutki tego dały się odczuć jeszcze w 1939 roku i jak ci mówiłem już, wiele zła cpoiki przedwojennej tu ma swe korzenie.

Ale z wami będzie jeszcze gorzej, bo was jest stosunkowo znacznie mniej. To też po wojnie nastąpi, niebawem wprost obniżenie kompetencji. Oficer, któryby w czasach normalnych, pokojowych mógł najwyższą dowodząc kompanią — obecnie puik (myślę to o organizacji przedwojennej), urzędnik nadający się w najlepszym razie na referenta, będzie starostą. Katedrę na uniwersytecie obejmie mało doświadczony asystent, nauczycielem w liceum będzie człowiek, któremu w normalnych czasach nikt by nie dał 5 klasy szkoły powszechnej. A na niższych stopniach? Jakich tu będzie analfabetyzm...

Ale nie w tym tkwi największe niebezpieczeństwo. Jeśli człowiek pracuje na szczeblu przewyższającym jego kompetencje lecz jest tego świadom, to jego zapas, jego żądza wiedzy, w krótkim czasie wzniosła go na wyższy poziom niż by mógł osiągnąć skostniały rutynista bez polotu.

Nieszczęściem jest jednak, jeżeli człowiek ten uwierzy, że na stanowisku to wzniosła go nie koniunktura, nie brak lepszych, lecz jego „zasługi”, jego własny „geniusz”. Wtedy staje się on typowym półinteligentem a nie ma nic bardziej tragicznego dla rozwoju narodu, jak rządy półinteligentów. Zachłani oni swe stanowiska, dostrzegający w każdym fachowcu niebezpiecznego konkurenta, tępić będą wszelkimi siłami młody narybek i wytworzą warunki, w których dusić się będzie każdy talent, każdy charakter, każdy fachowiec.

Niezależnie od klęsk, jakie ich niekompetencja sprowadzi na Kraj, wywołają oni za jakichś 15 do 20 lat nowy rozpaczyli „ruch młodych”, którzy przeciw nim wysuną te same hasła, które wyście skierowali przeciwko nam i to że znacznie jeszcze większą racją. I rozpętają się wtedy walki, wobec których wasze homeryckie boje z motopompami policyjnymi i wasze petardy na uniwersytetach wydawać się będą dziecinną igrzyską.

JAN — Kraczesz, puszczaj! Kieruje tobą podświadoma chęć wykazania, że wy jaknajdłużej siedzieć powinniście na stanowiskach kierowniczych, a żebyśmy mogli pod waszą starczą opieką „dojrzeć” czy raczej skisnąć, czekając aż kipniecie.

PIOTR — Jak głęboko się myślisz. Zrozum, że nawet, gdybyśmy chcieli, a przecież śmiesznie jest myśleć o „karierze”, gdy się dochodzi do 50-tych — to i tak nas na to za mało. Niewątpliwie, nie danym nam będzie zająć w końcu naszych dni. Ci, co mają przygotowanie, pracować będą musieli na stanowiskach fachowych. Reszta — większość obryzma, tam, gdzie nie dawne ich stanowiska, ale obecne kwalifikacje ich przeznaczają. Aż płkać się chce, gdy pomyśli się, ile czasu zmarnowano i jak wielu inteligentom na emigracji pozwolono kłisnąć w nastrojach zawodu i bez-

czynności, zamiast ich kształcić dla odbudowy kraju. Ale, kto ma głowę do myślenia i jakie takie wykształcenie, ten — chce, czy nie chce — będzie musiał lata jeszcze pracować, choćby jako pisarz gminny.

Ale to wszystko razem rozpacziwie mało, to też, czy chcemy czy nie chcemy, nie my, ale wy będziecie Polskę odbudowywali i nie my, ale wy będziecie przed Bogiem i historią odpowiedzialni za jej przyszłe losy.

JAN — Coż więc czynić radzisz?

PIOTR — Trzeba wzbudzić wśród ludzi, którzy staną do pracy ponad swe kompetencje i którzy będą musieli nieustannie

mierzyć swe siły na zamiary, trzeba w nich wzbudzić świadomość własnej niekompetencji i pęd do jak najszybszego wzniesienia się w zwzwyż. Trzeba zmusić do twardej, ciągłej pracy.

JAN — Łatwo powiedzieć, ale jak to zrobić?

PIOTR — Może kilka przykładów wyjaśni. Niech młody dowódca pułku nie zostanie z miejsca podpułkownikiem, lecz niech pozostanie w stopniu kapitana lat kilka i niech jego awans na majora zależeć będzie nie tylko od jego pracy w pułku, ale i od jego studiów, ukończenia kursów, zdania odpowiedniego egzaminu. Jeżeli w ten

sposób przejdzie on i na stopień następnny, to, gdy dojdzie do generała, będzie to człowiek pracy, oficer o dużej wiedzy wojskowej i cywilnej z wojną związaną (a więc przede wszystkim ekonomiczną i techniczną), dowódca patrzący naprzód, śledzący postępy myśli wojskowej i szermierz postępu wojska.

Niech w sposób analogiczny starosta, zanim przejdzie ze stopnia referendarza do stopnia radcy, wykaże nie tylko swe talenty rządzenia, ale również ukończy odpowiednie studia administracyjne, lub wydział prawny uniwersytetu. Niech asystent, co obejmie katedrę, rozpocznie od stopnia docenta i niech na awans na profesora nadzwyczajnego zasłuży sobie odpięro wynikami swej pracy naukowej.

Te same zarządzenia objąć muszą i całe życie cywilne i wolne zawody. Ustawa o nauczaniu wieczorowym objąć musi nie tylko — jak dotąd — młodzież, ale i tych (od naczelnego dyrektora począwszy), którzy w przemyśle, handlu, i w wolnych zawodach zajmują stanowiska przekraczające posiadane przez nich kwalifikacje naukowe i fachowe. Ustawa musi przewidzieć okres, po którego upływie niezdanie odpowiednich egzaminów pociąga za sobą utratę prawa do wykonywania danej kategorii pracy.

Słowem, niech awans społeczny nie będzie wynikiem koniunktury i przypadkowo zajętogo stanowiska, a wynikiem pracy i nauki.

JAN — Trafne i słusne wydają mi się twoje wywody, czy jednak nie stawiasz za dużych wymagań, czy nie żądasz od młodych czegoś znacznie trudniejszego niż bo. haterstwo na polu walki, bo zaparcia się siebie, ujarzemia swej ambicji na codzien, na lata całe? Czyż droga, do której wzywają młode pokolenie, nie jest za trudna?

PIOTR — Pamiętaj, Janie, że ilekroć w życiu człowiek ma do wyboru dwie drogi: łatwiejszą i trudniejszą, powinien wybrać trudniejszą; ta zwykle jest drogą obowiązkową.

Pamiętaj też, że tu nie chodzi o was, czy o nas, tu chodzi o coś znacznie większego, o Polskę. Od należytego rozwiązania zagadnienia odrodzenia wytopionej przez wroga inteligencji zależy przyszłość narodu na długie wieki. Musimy do odzworzenia wytopionej warstwy kierowniczej, wytopionej inteligencji, przystąpić z pasją równą tej, z jaką tępił ją wróg, z jaką szturmowaliśmy Cassino. W każdym Polaku musi wytworzyć się pęd do nieustannego wznoszenia się intelektualnie wzwzwyż, do póżerania wprost wiedzy i nauki. Gdy ten nastroj ogarnie całe społeczeństwo, zadane nam strasy odrobimy w krótkim czasie z nawązką.

Jeżeli jednak pójdziemy drogą zbyt łatwą, jeżeli ambicje o-obbiste wysunąmy na pierwszy plan, jeżeli hasło wygody, użycia, najniższego wysiłku, zapłaty za rzeczywiście, czy urojone zasługi, ciepłej posadki, wpływowego stanowiska, stanie się w Polsce wszechwładne, to życie w Polsce toczy się będzie pod rządami nieuków, półinteligentów, rozwój kultury i cywilizacji polskiej spadnie do poziomu jakiejś Albanii.

A wtedy zamiast być prodującem narodem, do którego zwracać się będą narody Międzymorza, staniemy się drobnym, skłóconym wewnątrz krakiem, który następną falą dziejową zmiecie bezpowrotnie z powierzchni świata.

Od was więc zależy, czy będziecie pokoleniem odnowicieli, czy też grabarzy Polski.

JAN — Twarde mówisz słowa, myśli rzucasz, które głęboko rozważać trzeba. Czy nie zawracasz jednak o tym myśliciel teraz, gdy tak ciężko wazą się nasze losy i gdy jutro tak czarnymi spowite chmurami.

PIOTR — Nie. Może jednym z wielkich błędów naszego pokolenia było to, że do budowy państwa stanęliśmy bez przygotowania, bez przemyslenia przyszłych zagadnień. Wydawało się nam wtedy, iż sam fakt odzyskania przez Polskę niepodległości rozwiąże — jak za dotknięciem różdżki czar dziejskiej — wszystkie trudności.

Dziś odzyskana wolność — a nie wątpliwe ani na chwilę w ostateczny triumf słusznej i świętej sprawy — nie może nas zaskoczyć. Zagadnienia przyszłej odbudowy należy rozważać i dyskutować, musimy je mieć przemyslane za sobą.

JAN — Jak w natarciu na pozycję umocnioną...

PIOTR — Tak, na pozycję umocnioną naszej wielkiej przyszłości.



Rys. Tadeusz Wąp

Znoszenie rannego na odcinku Montecassina

ANTONIO RUSSI

QUANDO FRA CENTO ANNI

Kiedy po latach stu umarli dzisiejszych dni

Na kościach swych dźwigną miasta szumiące, nowe

I kiedy uśmiech jasny ludziom osuszy ły —

Coż żywym, pośród róż idąca wiosna powie?

A liści poszum w słońcu jest ciągle ten sam,

Tak samo drzy w powietrzu gwar maleńkich dzieci,

Tylko się jedno zmienia — ból w sercu człowieka,

Gdy jadem znacząc rany, nie trwa, lecz ulcei.

A strach i śmierć i rany

Popięt w sercu ciążyć

Na zawsze — pogrzebane?

I liście stu jesieni znów powrócą do ziemi

Kwiaty stu nowych wiosen na wiatr się rozwarzą,

Chociaż przez lat sto od matek do Matki biegli

Żywi i zmarli.

A nasze dawne jesienie

I wiosny, których nie ma,

Przemieniny jak cienie?

O, nie most, nie most, lecz góra

Pomiędzy jedną porą a drugą wrasta

I tylko dwoje oczu każdemu życiu dane

Dla cierpień własnych.

A nowe mury, honor stracony

I uśmiech ludzi

Spęczonych?

Wszystko się dla nas rodzi i umiera

Pod ostrzem bezlitosnym, które wciąż rozdziela

Od dawnych nowe widnokręgi zór.

O, nie most, nie most nas dzieli

Lecz góra — czerwonych, czerwonych róż.

Przełożył — Jan Olechowski.

„This murder, with Democratic acquiescence...”

Nowojorska gazeta „Tablet” zamieszcza w numerze z 28 października 1944 następujący artykuł:

„Zagadnienie stosunków pomiędzy Związkiem Sowieckim a wielkimi demokracjami doszło do stanu, w którym same półbrodki i polityka ustępstw (appeasement) już nie wystarczają. W momencie, gdy wojna przeciw Niemcom jeszcze nie skończona. W Brytanii i Stany Zjednoczone stanęły wobec zatargu z Rosją we wszystkich krajach. Czy to w Polsce i państwach bałtyckich, na Bałkanach, czy w Chinach — gdzie bezpośrednia sowiecka interwencja groźbiona krzyżuje się z celami polityki wielkich demokracji, czy to w Potudniowej Ameryce, względnie w zachodniej Europie, gdzie trwa wrzenie rewolucyjne wywołane przez agentów sowieckich, czy to we Francji, we Włoszech i Hiszpanii, gdzie powstają problemy przyprowadzające miedzy stan państw sprzymierzonych o ból głowy, wszędzie mamy do czynienia z tym samym zjawiskiem: wyzwaniem na skalę światową rzucanym przez Z.S.R.R. demokracjom.

„Wszystko to rzuca światło na różne możliwe aspekty przyszłej organizacji, pokoju, przez której ustanowienie na podkrywanych przez nią warunkach Polska dąży do zalegalizowania własnej agresji i zażyczenia jej zbrodni przez narody zjednoczone. Dylemat, przed którym stoją demokracje, ukreślił William Philipp Simms w artykule w nowojorskim „World Telegram” jak następuje:

„Albo demokracje będą musiały pozwolić Rosji uczynić to, co zechce z ich sprzymierzeńcem, Polską, jako też ze wschodnimi granicami, Niemiec, albo zaryzykują zniszczenie planów pokojowych przyjętych w Dumbarton Oaks.

„Jeżeli Rosja pójdzie własną drogą, organizacja dla zachowania pokoju będzie utworzona, lecz organizacja ta będzie zbudowana na już istniejącej agresji i bezprawiu popełnionym przez jednego z założycieli tej pokojowej organizacji.

„To, czego Rosja zupełnie wyraźnie domaga się, oznacza całkowite poddanie się demokracji w sprawie Polski i państw bałtyckich — i to na raz, zanim nie nastąpi następny akt agresji. Wracając znowu do p. Simmsa, największe rozwiązanie sprawy polskiej jest następujące: Polska... wkrótce będzie zmuszona do utraty połowy swego terytorium i przyjęcia rządu marionetkowego dla pozostałej części Polski. Nie jest to nic innego jak bezwarunkowa kapitulacja (unconditional surrender).

„W tym czasie, gdy nieszczyśliwy (unfortunate) polski premier Mikołajczyk ponownie został wezwany do Moskwy na nową poniżającą podróż, podobną do jego letniej podróży, tak przypominającej wizytę austriackiego Schuschnigga w Berchtesgaden, połączone hitlerowski-sowieckie mordowanie narodu polskiego w okupowanej i powołanej Polsce nie ustawało: powtórzył się pod tym względem obraz wypadków z 1939 — 1940 roku. Specjalna sowiecka komisja, złożona z NKWD (policja tajna), zainstalowała się na polskich terenach okupowanych przez ZSRR, w celu przeprowadzenia dochodzeń w sprawie domniemanych antysowieckich wystąpień. Jakąkolwiek pomoc w drukowaniu i rozpowszechnianiu tajnych polskich pism, a nawet udzielenie schronienia na tajne antyhitlerowskie podziemne zebranie, uważają urzędnicy sowieccy za działalność antysowiecką.

„Oficerowie i żołnierze Polski podziemnej są rozstrzeliwani i wywożeni masowo na Syberię, nikt nie jest pewny życia w Polsce „wyzwolonej” przez ZSRR. Jedynie „partyzanci”, komunistyczni i inni agenci moskiewskiego Polskiego Komitetu Wyzwolenia, którzy pod okupacją niemiecką rączyli zwalczali Polaków niż Niemców, mają swobodę działania. Ci sowieccy quinsingowie i osławione komunistyczne NKWD otoczą kaci, na których taskę wydana została cała polska ludność po 5 latach heroicznego i nieprzerwanej walki przeciwko wspólnemu wrogowi.

„To morderstwo, popełniane za zgodą wielkich demokracji, jest nagrodą, jaką otrzymała Polska, jako pierwszy sojusznik w tej wojnie, w wigili zwycięstwa. Pierwszy i najbardziej sławny ruch podziemny w Europie, podziemny ruch polski, jest szybko likwidowany nie tylko przez Hitlera, ale i przez Związek Sowiecki.

„Stalin zażądał od Churchilla, Mikołajczyka i Harrimana definitywnego uznania narzuconej przez ZSRR wschodniej granicy Polski, uznania komunistycznego marionetkowego rządu, do którego pozwoli się legalnemu rządowi polskiemu wprowadzić dwu lub trzech członków, zażądał poddania Polskich Sił Zbrojnych pod sowieckie quinsingowskie dowództwo. Mówiąc prostymi słowy jest to wyrok śmierci na Polskę, jako

DOKUMENTY

państwo i naród. I tego właśnie Stalin zażądał od sprzymierzonych. Milczenie będzie wyrażeniem zgody.

„Naród polski na całym świecie nie uzna jednak piętnego rozbioru Polski; będzie się buntował, jak to czynił przez 125 lat i uważać będzie wyrok śmierci nałożony na przez tajną dyplomację za nieważny.

„Cokolwiek stanie się z Polską mordowaną, łupioną i niszczoną przez obu najczłędów po kolei, będzie ona dynamitem dla narodów zjednoczonych. Wszystkie smiałe plany harmonii pomiędzy tzw. „wielką



Armia Krajowa: Kuwiera (Hönuu D-ey)

czwórka”, na której pokój ma być zbudowany, wyglądały, jakby miały być rozszarpane w szczyty przez Rosję Sowiecką. Taka harmonia byłaby możliwa jedynie na podstawie podporządkowania się innych Rosji. Demokracje mają do wyboru, albo w dalszym ciągu oszukiwać swych sprzymierzeńców i ostatecznie poddać się samym pod kontrolę świata komunistycznego, albo przyjąć zwłanie obecnie. Oto dlaczego wszystkie projekty pokojowe budowane na morderstwie i agresji powinny być rozpatrywane przez amerykańską opinię publiczną co najmniej z podejrzliwością.

„Polska jest kamieniem probierczym; bez sprawiedliwości dla niej jakiegokolwiek Dumbarton Oaks lub jakiegokolwiek inna konferencja będzie stratą czasu i niebezpiecznym oklamywaniem opinii publicznej. Jedyną nadzieją na lepszy świat pozostaje odważna amerykańska myśl polityczna, a w szczególności postawa Senatu Stanów Zjednoczonych, jeżeli nigdy nie podpisze on planu pokojowego zbudowanego na zbrodni. Przyszły czas, by amerykańscy senatorowie przemówili bardzo głośno. Inaczej może być za późno”.

„Underground movement is strongly opposed...”

„Yorkshire Post” w numerze z 7 listopada pisze w artykule p.t. „London Notes and Comments”:

„W mowie Stalina (według tekstu otrzymanego w Londynie) było jedno zmieniennopozuszenie. Okazuje się, że Stalin nie zrobił żadnej aluzji do zagadnienia polskiego. Problem ten jest ciągle żywo dysku-

lowany w Londynie przez rząd Mikołajczyka. Lecz przed końcem tygodnia nie oczekuje się żadnego oświadczenia o decyzji w sprawie planu linii Curzona jako wschodniej polskiej granicy. Chociaż uważa się, że Mikołajczyk osobiście jest gotów przyjąć linię Curzona w interesie jedności i dobrozuprzymerzonych, większość Polaków w Londynie ciągle jeszcze jest przekonana, że Lwów i galicyjska Polska natomiast powinny pozostać polski.

„Tymczasem ustala się opinia Polski podziemnej. Chociaż od upadku Warszawy porozumiewanie się stało się bardziej utrudnione, rząd w Londynie ciągle pozostaje w kontakcie z ruchem podziemnym Polski. Pierwsze wiadomości wskazują, że ruch podziemny i partie polityczne, które odpowiadają partiom reprezentowanym w Londynie, są stanowczo przeciwnie oddaniu tak wielkich terenów Polski, jak tego wymagałoby przyjęcie linii Curzona. Mówi się, że rządy brytyjski i polski wymieniają poglądy co do całokształtu możliwego porozumienia polsko-sowieckiego.

„Londyńscy Polacy ciągle stoją na stanowisku, że o ile ma nastąpić rozwiązanie sprawy granicy wschodniej, to musi ono być rozpatrywane jednocześnie ze wszystkimi innymi zagadnieniami, włączając sprawę granicy zachodniej... (następujące zdanie niezrozumiałe, zniekształcone w depeszy). Równocześnie rząd polski wolałby, aby kwestia graniczna pozostała w zawieszonym do konferencji pokojowej. Lecz umiarkowane elementy w rządzie polskim uznają, że w interesie jedności wśród sprzymierzonych prawdopodobnie Polska będzie musiała pójść na pewne poświęcenia dla zadowolenia Rosji (to meet case), pod warunkiem, że dostateczne gwarancje zostaną udzielone przez Rosję i demokracje zachodnie dla zachowania polskiej niepodległości”.

LOT BIAŁEGO ORŁA

Z okazji polskiego Święta Niepodległości w „Observatore Romano” ukazał się pod powyższym nagłówkiem następujący artykuł: „Rocznica niepodległości Polski wypadła w bolesnej i chwalebnej godzinie historii — rocznicą dla tego szlachetnego narodu.

„Zwraca go ona z głęboką tęsknotą do wspomnień, ale zarazem z ufną wiarą w lepsze czasy.

„Kraj ten ucierpiał więcej niż jakiegokolwiek inny wskutek wojny, która od niego rozpoczęła dzieło niszczenia wolności, pokoju, życia oraz dobra i na nim też zaczęła się podwojną okupacją. Dlatego też stał się on już dwukrotnie polem walki, a dziś jeszcze znajduje się w takich warunkach politycznych i wojennych, że nie sposób z nim porównać żadnego innego narodu, który stał się ofiarą wojny. Nie było bowiem i nie ma w obecnym konflikcie kraju, który znalazłby się w trybach dwóch armii, zaciekłe walczących ze sobą w imię ich własnej wojny, za ich tylko sprawę, obcy natomiast jego sprawie. Wimy zaś, że dzięki nieszczęsnemu spłotwemu wydarzeń w olbrzymim tym kryzysie międzynarodowym jedna z tych armii jest wrogiem Polakom, druga zaś — nieprzyjacielem.

„Wszystko to na dobitkę dzieje się wtedy, gdy rząd jest na wygnaniu, wojsko zaś należące do najbardziej bohaterskich walczących na wszystkich frontach za sprawę, wspólno, to prawda, ale nimo to wciąż jeszcze za sprawę cudzą, to nie jest mu danym być się na własnej ziemi w obronie swoich najbliższych, swoich ognisk, swoich miast, czyż przeciw każdemu innemu naród spośród najbardziej nawet dotkniętych może się pocieszać.

„Ale nie tylko dla okrutnej rzeczywistości tego losu, nie tylko dla siły ducha narodowego, która Polaków każe stawiać za przykład, nie tylko dlatego, że nie cofając się nigdy szerokie i całkowicie oddali się współpracy, udzielając pomocy również

ym, których po chrześcijańsku zwą „najbliższymi z narodów”, nie tylko też dlatego obchodzonemu w całym świecie cywilizowanym ich świętu niepodległości czczeniemu na pamięć zmarłym wstawią, tak szczęśliwego dla Europy — towarzyszą namże najgorętsze życzenia, by niepodległość ich stała się znowu faktem. Czynniki to ze względu na znaczenie, które męka i walka Polski mają dla życia i losów chrześcijańskiej cywilizacji.

„Spójrzmy na stronę duchową, a nawet religijną wielkiego zatargu, który wstrząsnął kontynentem. Jeżeli we wszystkich dziedzinach społecznych, ekonomicznych, politycznych ścieranie się idei, dążeń, interesów oraz zwyczajów stało się coraz wyraźniejsze, na polu moralnym to samo zjawisko ukazało sumieniu świata rozciętą się drogą: jednej partei o zasady wieczyste i wyższe oraz drugiej — która zaprzecza ich istnieniu, albo je pomija. Rozdroże to między gościnnym stałym, dzięki światłym doświadczeniom nabytym w okresie dwóch tysięcy lat myśli, tradycji, cywilizacji i chrześcijańskiego postępu, a drogą, po której ludzkość dąży w nieznaną wskutek czysto materialistycznego ujęcia życia indywidualnego i społecznego człowieka oraz narodów. Wszystkie potęgi i narody pojęły różnie w różnych chwilach te prawdy i rozmaić się o nią zatroszczyły w hierarchii celów wojny i własnego ich w niej udziału. Dzisiaj nie ma nikogo, kto by nie przyznał, że losy cywilizacji w tej oto sferze i w tym punkcie rozstrzygają się w tej chwili.

„Nikt nie może zaprzeczyć, że Polska, wierna swemu duchowi i uczuciu katolickiemu, wierna swej misji historycznej, zrozumiała to od razu i w całej pełni pojęła, że wiąże się to z losem Ojczyzny, losem, w którym składniki społeczne, ekonomiczne, polityczne nie mogą być jak w każdym kraju cywilizowanym — bez elementu podstawowego, bez ośrodka ruchu

duchowego i religijnego, jakim jest dla Europy i dla całego świata czynnik chrześcijański.

„Czyżmy się kiedykolwiek zapytali — a będzie musiała sobie zadać to pytanie historia tej wojny — czego Polska była symbolem w tym starciu sił materialnych? Dlaczego musiała ona wystąpić i znieść największą zaciętość? I czy to, co wystąpiło w tym zderzeniu po stronie idealnej i mo-



„Żubry” przechodzą przez „most”

ralnej nie zostało potwierdzone, wyznawane i uśmbyliwizowane przez Polskę?”.

Po obszernym przytoczeniu artykułu „The Weekly Review” na temat „Tragedii Warszawy” — „L’Observatore Romano” tak zakończyło swoje uwagi:

„Szacunek i wdzięczność, na jakie ów naród zastępuje światu — a łączy się to z naszymi życzeniami z okazji rocznicy niepodległości — niech się przemienia w zgodne i owocne czyny, by sprawę Polski coraz bardziej odczuwano jako sprawę wspólną, i to nie tylko w czasie wojny, ale i w czasie pokoju, jako sprawę triumfu prawa oraz poszanowania narodów w ich życiu i historii, w ich godności i pomyślności; jako sprawę zwycięstwa wierzącej cywilizacji, której Bóg zapewnił sprawiedliwość i nagrodę za braterstwo.

„Niech poróżni z dzieć i dobytków staną się dla Orła Białego tym, czym były dla białego Feniksa, który z nich się odradzał, by na nowo lecieć ku słońcu.

KOŁYSANKA MEGO SYNA*)

Spój mój synu. Tam zima zamrznięta Kłęczy w ślepie pod naszym barakiem... Wyrzucono cię z domu, pamiętaj, tylko za to, że jesteś Polakiem. Za pacierz najświętsze, matczyne i za polską tę mowę Ojczyznę Wyrzucono bezbronna płaszynę — Mego synu na Sybir śnieżysty. Małą duszka, tak wafła, tak kruchą. Małe serce, tak drogie twej matce. Skuto w ciężkiej niewoli jałuczny i zamknięto w baraku, jak w klatce.

Spój, wygnajże mój. Spój, królówiczu Z rozbitego dziedziństwa pałacu.

Matka cęty wciąż nosi i liczy. Matka młoda i żębnie przy pracy. Żobzy z głodu zbyt gorzko nie płakał. Był zapewni ci jutro niejane. Matka nosi kamienie na traktor. Takie skąpie, jak serce jej własne. I swą skąpie przesunęta ogromnie Na sąd Boski śle het — gwiazdny

Spój mój synu i śpiąc nie zapomnij, * Maż zostać na zawsze Polakiem.

*) Wiersz powyższy pisany był na zesłaniu w Rosji, w zime 1940-41. Redakcja nie zna nazwiska autorki.

CO ZROBIĆ Z EUROPEJĄ?

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Premier Churchilla przemawiając na przyjęciu u lorda majora (burmistrza) Londynu omówił obecną sytuację wojenną. Podkreśliłszy znaczenie dwóch wielkich bitew, rozgrywających się obecnie pod dowództwem brytyjskich we Włoszech i Holandii — bitew prowadzonych z udziałem wojsk polskich — stwierdził, że są one „wstępem do innych wielkich operacji, które będą przeprowadzone w najbliższych miesiącach”.

Mówca nie ukrywał trudności, które stoją wciąż przed armiami sprzymierzonymi, zmuszonymi przetrzymać „rozpaczyliwy opór oczekiwany zresztą przez nas ze strony przeciwnika, tak zaciekłe militarystycznego”. Premier nie przewidywał „łatwej przyszłości” na kontynencie europejskim, ale mimo to, „choć tak ciężko wydawać się to może po pięciu, długich latach wojny, każdy mężczyzna, każda kobieta na wyspie muszą obecnie wyzkażać, do czego są zdolni”.

Celem głównym tego wysiłku jest „zakonczenie w najkrótszym możliwie czasie tej okropnej rzezi i tego niszczenia Europy”. Opor stawiany przez Niemców na wszystkich frontach — pod Libawą, w Prusach Wschodnich, pod Budapesztem, we Włoszech, we Francji i w Holandii — zmusza sojuszników do przygotowania nowego uderzenia na Rzeszę, a „ostatnie sukcesy, jak zajęcie Forth, okopanie Metz, opanowanie Brabantu holenderskiego, zatopienie „Tirpitz” — nie zmieniają narazie tej sytuacji. Nowe bomby latające typu V 2 zrzucające stratosfery na Londyn oraz na inne punkty w Europie zachodniej — choć narazie są to jeszcze eksperymenty — dają nadzieję na dalsze rewolucjonizowanie wojny i zwiększyć spustoszenia, które ona niesie, że pragnienie moich zwyciężkiego zakończenia katastrofami musi być dziś silnie odczuwane zwłaszcza w stolicy Anglii.

Wypływa stąd dalsza konsekwencja: trwanie przy porozumieniu trzech wielkich mocarstw. „Nadejścia chwila zebrania nowej konferencji trzech mocarstw — mówił premier Churchill. — Zebranie to mogłoby skrócić cierpienia ludzkości i położyć kres terrorowi i niszczeniu, które niesie zagładę światu”.

A więc nowa konferencja typu zapewne teherańskiego, nowe porozumienie trzech mocarstw, nowe układy z marsz. Stalinem — oto następstwa desperackiego oporu Niemców. Pod kątem widzenia tej operacji konieczność rozpatrywać trzeba nieuniknione wnioski polityczne, które wypływają z tej sytuacji i wyrażają się prawdopodobnie w dalszych kompromisach i ustępstwach. Rok temu w Teheranie, przed wszystkimi Polską — aczkolwiek tam nieobecna — płaciła swoimi prawami i swą pozycją na rzecz utrzymania wspólnego frontu sprzymierzonych. A dziś?

Wojna ręką prez. Roosevelta

Prezydent Roosevelt zapowiedział również zebranie konferencji trzech, choć dokładna data i miejsce spotkania nie są jeszcze ustalone. Prasa amerykańska nie ukrywa jednak, że prezydent Roosevelt będzie musiał podjąć niebawem szereg zasadniczych postanowień. Będzie on miał po temu wolną rękę, tak dalece gruntownie jest jego zwycięstwo wyborcze, wyrażające się nie tylko w jego sukcesie osobistym, ale i w uzyskaniu decydującej przewagi w obu Izbach parlamentarnych. W izbie deputowanych, gdzie demokratów było 214, a republikanów 212, liczba zwolenników prezydenta zwiększyła się do 242, a opozycyjność spadła do 187. Większość wynosi zatem 55 głosów, w senacie wzrosła ona do 19 przy udziale 56 senatorów demokratycznych i 37 republikanów. W przeciwieństwie do prez. Wilsona z czasów tamtej wojny, który przy jej zakończeniu napotkał na opór kraju i parlamentu, prez. Roosevelt otrzymał od swego społeczeństwa wolną rękę, którą mogłoby skrepować jedynie zobowiązania i naciski zewnętrzne. Jak prezydent wykorzysta swą wyjątkową sytuację?

Prasa amerykańska wymienia szereg spraw, które czekają na jego rozstrzygnięcie, a więc dalsze rokowania w Dumbarton Oaks, zagadnienie Francji, Kłopoty z Argentyną, trudności w Chinach i wreszcie „rozważenie możliwości bardziej czynnego amerykańskiego udziału w wysiłkach zmierzających do załatwienia sporów między Rosją a Polską”.

„The Stars and Stripes” zaś w depeszy z dnia 13 bm. donosiły z Waszyngtonu:

„Perspektywa spotkania Roosevelta, Churchilla-Stalina prawdopodobnie postawi prezydenta wobec konieczności zdecydowania, jak dalece Stany Zjednoczone poją w zakresie współpracy w sprawach europejskich.

„Polożenie Polski, przyszłość Dardaneli, interesy Rosji i W. Brytanii na Bałkanach, kontrola nad pokonanymi Niemcami, plany w sprawie utworzenia wolnej Austrii — te oraz inne zagadnienia przechodzą dziś od

stanu rozważań do stanu czynnych rozwiązań wobec zbliżania się końca wojny”.

„Pozostaje pytanie, czy Stany Zjednoczone będą zmuszone wziąć bardziej czynny udział w załatwianiu zagadnień europejskich, a więc na przykład, czy będą musiały nalegać na Polaków, by przyjęli lub odrzucili określone rozwiązania, czy też jedynie ograniczą się do powtarzania, iż pragną wolnej i niepodległej Polski”.

„Tego rodzaju wyrażenie głównych zasad stwarzało ramy dla działalności amerykańskiej dyplomacji, gdyż koła urzędowe rozumiały, że Stany Zjednoczone nie mogą i prawdopodobnie nie będą mogły związać się gwarantowaniem przyszłości Europy”.

Stary amerykański izolacjonizm wypłynął tu w pełni. Jak go jednak pogodzić z ambicjami imperialistycznymi, z ekspansją amerykańską, którą widzimy na każdym kroku, z wielkimi planami gospodarczymi na przyszłość? Stany Zjednoczone były musiały wybierać. Izolacjonizm nie dał pogodzić się z wpływami na skalę światową.

Polityka francuska

Pierwszym bezpośrednim zleknieciem prezydenta Roosevelta z zagadnieniami europejskimi będzie jego wizyta w Paryżu, dojadł został zaproszony wraz z sekretarzem stanu Cordellem Hullem. Narazie w Paryżu bawił premier Churchill wraz z min. Edemem. Odwiedzić to były powód do odnowienia owej polityki „entente cordiale”, która rozpoczęta przez Edwarda VII stanowiła przez lat czterdzieści podstawowy składnik konfiguracji politycznej w Europie.

Co prawda, niejednokrotnie już ciężkie chmury gromadziły się nad przyjaźnią francusko-brytyjską. Tragiczne wydarzenia z roku 1940, powstanie we Francji dwóch silnie zróżnicowanych się obozów: obozu antyfrancuskiej i profrancuskiej, zdawałoby się skierują oba narody na tory dawnej niechęci i zniechęcenia do historii rywalizacji. Gen. de Gaulle podtrzymać jednak umiędzelnienie ideę współpracy z narodami anglosaskimi, choć jego polityka nieraz jawnie i odważnie przeciwstawiała się sojusznikom brytyjskim oraz amerykańskim, choć działalność jego była przedmiotem ciepła, niestranych zarzutów ze strony opinii anglo-amerykańskiej.

Daś tarcia te należą — jeśli chodzi o osobę gen. de Gaulle — w dużej mierze do przeszłości. Charakter okazany przez niego w stosunkach z aliantami zyskał mu — jak można było spodziewać się — jedynie szacunek, któremu dał wyraz premier Churchill, gdy mówił o nim w Paryżu do Francuzów. Jest ich „słowa oraz niewyjąłiwość umiejętny wódczyn”. Przyjaciele się do niego, tak by Francja mogła pozostać zjednoczona i niepodzielna”. Premier brytyjski zaznaczał jednocześnie — jak donosił Reuter — że „Francja nie mogłaby znieść niczego, co podważyłoby jej życie narodu w chwili, gdy wszystkie siły narodu mają być przygotowane na okres powojennej odbudowy”. Czytając to, różni się pytanie, czemu to w ten sam sposób nie mówi się o Polsce...

Wynika z tego, że W. Brytania na pewno nie życzę sobie rozbięcia przez kogokolwiek jednolitej Francji, jednolitej, której symbolem stał się gen. de Gaulle. Uznaniu jego jako „niezłupnego wodza” Francji towarzyszyły inne pomysły dla Francji zjawiska, jak wprowadzenie jej do „Komisji europejskiej” złożonej dotąd z przedstawicieli W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Rosji, co sprawi, że Francja będzie pierwszym krajem kontynentalnym, który posiadzie w tym celu, mającym rozwiązywać sprawy kontynentu. Ważne jest również zapewnienie udziału Francji w okupacji niemieckiej. Nade wszystko jednak zmianie jest silne opowiadanie się premiera Churchilla na rzecz odbudowy armii francuskiej, która ma czynnie uczestniczyć w dalszej, niekończącej się jeszcze wojnie.

Planu te zbiegają się z aktywnością belgijskiego ministra spraw zagranicznych Spaaka, który bawił w Londynie i przybył do Paryża, by omówić projekt sojuszu narazie angielsko-francusko-brytyjskiego, do którego przyłączył się Norwegia i Holandia po ich uwolnieniu.

„Yorkshire Post” donosząc o tym pisał, że plany te mają na celu „zabezpieczenie Europy zachodniej przed nowym niebezpieczeństwem jest rzeczą doniosłą, ale Europa zachodnia nie kończy się, chwała Bogu, na Francji i Belgii. Dla ochrony zaś cywilizacji zachodnio-europejskiej nie wystarczy

regionalna umowa dyplomatyczna, krajów nadatlantyckich. Zadanie to wymagać będzie głębszych i gruntowniejszych wysiłków.

Czy miał je na myśli p. Bidault, francuski minister spraw zagranicznych, gdy w okresie wizyty premiera Churchilla wysuwał plany francuskiej polityki? Z przemówienia jego wynikało, że układy zachodnio-europejskie stanowią ważny, ale nie wyłączny czynnik w polityce rządu francuskiego. P. Bidault wyobrażał sobie bowiem, że Francja stanie się pomostem między zachodnią i wschodnią Europą i że w tym dziele pomagać jej będzie... Człochosłowacja. Wynikałoby z tego, że Francja pragnie utrzymać równowagę między W. Brytanią a Rosją sowiecką. Późniejsze zaproszenie gen. de Gaulle oraz min. Bidault do Moskwy ogłoszone natychmiast po wizycie premiera Churchilla w Paryżu potwierdzały te tendencje polityczne, którym sprzyja Rosja.

Ale na tym nie koniec. Min. Bidault oświadczył również, że z chwałą, gdy Niemcy pobjędy się hitlerzysm, jego powróci do polityki Brianda w stosunku do nich, to znaczy do zbliżenia francusko-niemieckiego. Z tego względu p. Bidault, choć jest zdania, że należy Niemcy unieszkodliwić na zawsze, to przecież jest przeciwny pokojowej odwetu, przeciwny rozbirowi Rzeszy, przeciwny przeistoczeniu Niemiec na kraj rolniczy i pozabawienia ich przemysłu, przeciwny przyzyczeniu do Francji jakiegokolwiek skrawka ziemi niemieckiej. A zatem Francja nie wylicza i tego kierunku polityki, który prowadziłby do bloku europejskiego opartego o brian-dowską koncepcję współdziałania francusko-niemieckiego.

A sojusz francusko-polski? O nim dziś się nie mówi. W „La Marseillaise” co prawda ukazał się artykuł prof. Adama podkreślający, że blokowi państw amerykańskich kierowanych przez Stany Zjednoczone, blokowi państw zachodnio-europejskich kierowanych przez W. Brytanię i prowadzonemu przez Rosję blokowi państw wschodnio-europejskich — do którego, zdaniem prof. Adama, należałyby i Polska — musi Francja przeciwstawić własny system w oparciu o mniejsze narody europejskie, których symbolem jest dla prof. Adama już nie Czecho-Słowacja, ale... Rumunia. Nie wchodziż w to, ile w tych planach jest teorii, a ile dążeń do powrotu na dawne szlaki francuskiej myśli politycznej, lub szukania różnych dróg wyjścia i wolnej ręki w wyborze partnerów — co jest cechą każdej polityki mocarstwowej? — trudno nie zauważyć, że Francja nie zamierza zamknąć się w sztucznym schemacie stref wpływów, opracowanym rok temu w Teheranie. Schemat ten jest nie do przyjęcia również dla innych narodów europejskich, chcących żyć w wolności.

A co z Niemcami?

Tymczasem los Europy przedstawia się nadal ponuro. Jedną z przyczyn tej sytuacji, jest zdradzenie jej cywilizacji przez Niemców. Dziś gdy Niemcy mają noż na gardle, pragną oczywiście zmienić swą politykę wobec narodów europejskich. Utraciliśmy swoje wiarę w porozumienie z Rosją, lub chęć uzyskać nowe narzędzie naskaku w stosunku do niej — Niemcy pozwolili dziś wystąpić z akcją polityczną wziętą do niewoli sowieckim generałowi Wasosowowi, który na specjalnym zebraniu w Pradze czeskiej zwał „ludy Rusji”, to znaczy „Rosjan, Ukraińców, Białorusian, Tatarów, narody kaukaskie i turkistańskie” do powstania przeciwko władzy sowieckiej. Działo to „Niemcy” wzywającą je narodem hitlerzyckim nie uważają za „rusyjskie” i dlatego nie włączają ich do komiteta gen. Wasosowa. Dziś wreszcie usiłują zmienić politykę w stosunku do Polaków po pięciu latach najbardziej okrutnego i bezmyślnego znęcania się nad nimi. Daremny to trud.

W odczynie wydanej na piśmie przez Hitlera, o którego chorobie czy fizycznym ożwiadaniu pełno dziś w prasie — wspom. imiano o obowiązkach Niemiec wobec Europy, która nadal jest „zbiorowiskiem rywalizujących z sobą narodów i państw”. Niemcy usiłują więc wysuwać myśl zjednoczenia narodów europejskich w obliczu „zagrożenia wschodu”. Uważają politykę równowagi europejskiej, wiodącej do sojuszu między wschodem a zachodem Europy za „owoc ciasných mózgów zachodnio-europejskich”. Przypisując zaś wbrew prawdzie historycznej narodowi niemieckiemu główną zasługę pokonania najazdów tatarskiego, tureckiego czy bolszewickiego na Europę, pragną, by obdarzona ona Niemcy zadaniami „przewodczymi”, gdyż

„tylko one chcą i mogą wypełnić tę rolę”.

Apel do Europy w odczynie Hitlera — sytuację rozbudzić fanatyzm wojenny wśród Niemców, odczynie pełnej zapewnienie że „dopóki ja (Hitler) żyję” Rzesza „nie podzieli losu innych państw europejskich opianowanych przez bolszewizm” brzmi jak wielkie, historyczne nieporozumienie.

Niemcy wykazał raz jeszcze w tej wojnie, że są niezdolni do prowadzenia twórczej polityki europejskiej. Pycha, zaślepienie, brak wyobraźni politycznej zaprowadzi ich na tory bycia. Po tym, co uczynili w r. 1939, kiedy nagle zawarli pakt z Rosją, po napaści na Polskę, po zbrodniach dokonanych we wszystkich krajach okupowanych nie mogą oczekiwać, by ktokolwiek im zaufał lub, by spóźnione ich apele do narodów europejskich odniosły skutek. Niemcy prowadził bowiem przez cały czas wojnę polityką antyeuropejską, czego dalsi dowód nawet w swym postępowaniu wobec Ukraińców.

Inna rzecz, że postawa ich wytworzyła w środku Europy pustkę, a raczej ognisko rewolucyjnej, zapalnej, którego wybuchowe nie zmienne zapewne z chwilą zakończenia wojny. Nie pozwolił to p. Bidault na łatwe wznowienie polityki współpracy francusko-niemieckiej, jak i na proste przywrócenie sojuszu francusko-rosyjskiego takiego, jakim był on za czasów Poincarégo i Mikojana II, albowiem Rosja Stalina jest oczywiście mocarstwem różniącym się znacznie od tego, którym rządził przed czterdziestu laty zniechędzający car.

Na Niemiecże w-szakie i na Rosję nie kończy się Europa. Obecny kryzys wypływa ze stalego zapomnienia, że po za tymi dwoma ośrodkami dynamicznymi i zapalnymi istnieją w Europie siły polityczne równie realne, równie obdarzone wola polityczną, których systematyczne pomijanie lub włączanie w sztuczne systemy stref wpływów wywołują, obecny zamęt. Dezorientacja ta wyraża się choćby w nowych apelach rządów belgijskiego i greckiego do podporządkowania się „patryotów” władzy legalnej (poprzednio uczynił to gen. de Gaulle) i jednocześnie, powieźliwie śmy panikarskiej demagogii szwajcarskiego, diaboloidalnego ministra spraw zagranicznych p. Pilet-Gotzala, który ustąpił dlatego, iż Rosja odmówiła wznowienia stosunków dyplomatycznych ze Szwajcarią, uważając te kolebkę demokracji za kraj „faszystowski”, gdyż antykomunistyczny.

Nowa Europa, jeżeli ma być zbudowana organicznie, musi opierać się na wyraźnej, obejmującej całość kontynentu koncepcji, oraz na realnych siłach, a tymi są wszystkie jej narody. Musi ona uwzględnić wszystkie czynniki woli politycznej na kontynencie, jeżeli ma na niej panować porządek. Dotychczasowe próby rozwiązania zagadnienia europejskiego, po przez stosowanie różnych miar do różnych części kontynentu, przymusowe włączanie narodów w strefy wpływów, odbieranie istniejącej suwerenności wszystkim niemal państwom kontynentu opiewają się na założeniach szkodliwych i oportunistycznych, nie obejmujących całości zagadnienia.

Wszystkie te plany — rzecz ciekawa — wiodą do przekształcenia roli Polski, jako podmiotu działania politycznego. Nie jest to przypadkowe, ale najzupełniej logiczne. Polska niepodległa bowiem może istnieć tylko w Europie, opartej na wolnych i równych narodach, a nie na podstawie sztucznego podziału na uporządkowany zachód, uciemiężony wschód i na myślące o odwiecie Niemcy.

Polska stanęła dziś wobec najcięższych od czasu wojny decyzji. Żąda się od niej wyrzeczeń dla niej niepojętych, chce się ją pozbawie możności wypełnienia swej roli jako państwa niezależnego, żąda się, by zerwała z Zachodem Europy. Jednocześnie zapomnia się jednak, że Polska stała się wskaźnikiem i próbą dla rozwiązania całości zagadnienia europejskiego. Co po obrony, i my sami ograniczając swą rolę do obrony, w dodatku bezskutecznej, przegrywamy zamachami, nie potrafiliśmy dotychczas związać koncepcją polityczną naszego losu z racjonalną organizacją Europy, choć związek ten należał do najbardziej oczywistych.

Zamordowanie lorda Moyne

Dnia 6 listopada zamordowany został w Kairze lord Walter Moyne, angielski minister stanu dla spraw Bliskiego Wschodu. Dwa sprawy zamachu zostali arrestowani przy policji angielskiej. W czasie rewizji osobistej nie znaleziono przy nich żadnych dokumentów i dotychczas nie stwierdzono ich dokładnej tożsamości. „United Press” podała, że zamachowcy jakkolwiek nie chcą ujawnić nazwisk, przyznali się jednak, że należą do palestyńskiej terrorystycznej „organizacji Stern” i że do Kairu przyjechali w celu zamachu na osobę lorda Moyne.

Bezpłodnym zatem tym zamachu jest „wojna” terrorystycznego odłamu neo-sjo-

(Dokończenie art. na str. 10)

PIĘCSETLECIE WARY

(Dokończenie art. ze str. 1.)

niony ideologią husycką; tylko z trudem udało się znieść rokosz Spytka z Melszyna w krwawej rozprawie pod Grótnikami. Nawet Litwa pod Wielkim Księciem Zygmuntem Kiejstutowiczem była niepewna.

Nagłą odmianę tego wszystkiego był rok 1440. Zginął z morderczej ręki Czartoryskiego w Trokach Zygmunta, brat Witolda. Umarł Albert Habsburg, król węgierski i rzymski, zostawiając tylko córkę i żonę, Elżbietę Luksemburską, przy nadziei na męskiego może potomka. Węgrzy bez króla, zagrożeni od Turków, szukają ratunku w Polsce: ofiarują koronę szesnastoletniemu Władysławowi wraz z ręką trzydziestoletniej wdowy. Litwa, w obawie przed tyrannicznym usposobieniem Michała Zygmunto-wicza, prosi o przybycie Kazimierza, przez posłów Dowojnowicza, i Raczka.

I oto na wiosnę, 1440 roku dwie idą z Krakowa a raczej z Sącza wyprawy. Jedną ku Budzie prowadzi sam kardynał: król polski jedzie obejmować ziemie Sw. Stefana. Drugoszą, który prawdopodobnie sam brał w tej wyprawie udział, szczegółowo opisuje każdy jej dzień, składowi i wspaniałość drużyny. Nie wszystko idzie łatwo. Królowa Elżbieta tymczasem powiła syna. Jest to Władysław, zwany Pogrobowcem, którego prawa była dwójka powodem waśni i wojny. Elżbieta chce w jego imieniu rządzić. Panowie z jej otoczenia trzymają zawartą w Krakowie umowę o oddanie korony Jagiellończykowi. Rośnie opór. Ale Władysław wjeżdża do Budy i wkrótce potem koronuje się, starym odwiecznym zwyczajem, w Alba Regia.

Opis tej koronacji, gdzie król przywdział swą szatę Sw. Stefana, syna Piastów, a potem wyszedłszy na wieżę, mieczem na cztery strony świata grozi wrogom narodu, zawiera jakies momenty, przypominające jakieś pśdawnie, przedchrześcijańskie zwyczaje węgierskie. Wielu panów węgierskich przybiega do króla. Elżbieta z synem chroni się u szwagra, Fryderyka Habsburga. Sprzeciw jednak przeciwko Władysławowi III trwać będzie lat kilka. Skończy się później dopiero, w 1443 roku, gdy pod wpływem papieża i legata Cesarniego, młody król spotkał się osobście z Elżbietą. Tymczasem, rozłam na Węgrzech trwa, pod wodzą Iskry, werniego dziedziciu Luksemburgów. Przez trzy lata upora się z nim Władysław ze zmiennym szczęściem. Historię branych i traconych zwycięch, pochodów w tą i tamtą stronę, wypełniają ten okres. Ale już od początku król polski panuje nad sytuacją.

Akcja Elżbiety i werniego jej Iskry, jest wroga idealowi chrześcijaństwa, za nią stoją husycie Czechi, i egoistyczny Habsburgowie; mimo to trudno nie mieć sympatii dla tej kobiety walczącej, o prawa niewiody, dla tego rycerza, werniego krwi swego króla; szczególnie że potem, gdy dochodzi do rozprawy z Turkami, składa on oręż i nie przekadza walce.

Oleńskich odprowadzają króla do Budy, i zostawiają przy nim, jako doradcę, Mikołaja Lasockiego, kanonika krakowskiego, nie czeka rozwoju wypadków. Wracą do Krakowa, bo tymczasem, równocześnie z wyprawą na Węgry, drugi orszak królewski już poszedł na północ: Kazimierz jedzie obejmować Litwę, jako namiestnik w imieniu brata, króla i wielkiego księcia. Litwa przyjmuje go z radością. Oporu nie znajduje, nawet wśród stronników Kiejstutowicza. Będzie, przeciwnie, zamiar by go samego zrobić wielkim księciem i gospodarzem.

I kiedy Oleńskich wraca do Krakowa, to co, rok temu jeszcze, pod Grótnikami, zdawało się snem nie do osiągnięcia, jest rzeczywistością. Pod królewskim berłem Władysława III zjednoczone są ziemie od Białtuku po Adriatyk, i stary kardynał, na trzech koronach oparty, jest już na czele największej potęgi Europy. Na Węgrzech rządzi przez Władysława, na Litwie przez Kazimierza, a w Polsce sam, przy pomocy królowej Zofii i wyznaczonych przez króla namiestników. Nie łatwo to jeszcze rządzić. Nie tylko na Węgrzech tli niezgoda. Między Litwą a księstwami mazowieckimi dochodzi do otwartej prawie wojny o Drohiczyn. Na Śląsku raz po raz burzą się rycerze, w Polsce raz po raz wybucha, pod sztandarem husytryzmu, anarchia możnowładcza. Ale to tylko kwestia czasu. Jedność mięrzymorza jest zrealizowana, trzeba tylko by okrzepła.

Trzeba czytać Długosza, nie tylko do niego zaglądać, by zdać sobie sprawę, jak świadomym było budownictwo Oleńskichiego, jak przemysłany i konsekwentnie przeprowadzony był ten plan. Królewiczyowie wcale nie pożądali odległych stolic. Władysław bronił się jak mógł przed koroną węgierską i projektowanemu małżeństwem ze starszą znacznie od niego Elżbietą. Koronę przyjął tylko wówczas, gdy mu postawiono przed oczy wielki ideał obrony chrześcijaństwa.

Dopiero w 1443 roku, w trzecim roku panowania węgierskiego, ruszyła wyprawa przeciwko Turkom. Amurat II starał się tej

wojny unikać. Czuli, że ma przeciwko sobie potęgę gotową go zepchnąć z powrotem do Azji. Poselstwa posyłał serdeczne. Gotów był z zamków serbskich ustąpić za opłatą. Zachód nie chciał za pieniądze kupować pokoju, czując się w dobrym prawie. Pierwsza wyprawa poszła na Sofię. Wiodł ją sam król, mając przy sobie Hunyadego Janosza, którego sam na wysokie podniósł urzędy i zrobił banem Siedmiogrodu. Aż do Bałkanów doszły zastępy chrześcijańskie, pobawiwszy Turków nad Morawą. Ale w wigilii Bożego Narodzenia, po zwycięskiej bitwie u podnóża gór, okazało się, że dalej już iść nie można. Zaczął się odwrot ku Belgradowi. Ciężki zimowy odwrót, gdzie zostawiano tabory, gdzie głód doskwierał. Ale odwrot udał się szczęśliwie, i w całej Europie wyprawa 43 roku zrobiła wrażenie wielkiego triumfu.

Uważano ją za pierwszą szczęśliwą próbę sił. Król po powrocie do Pesztu kazał zawiesić w kościele Najświętszej Panny tarzie herbowe najbardziej zasłużonych rycerzy: 12 Węgrów i 12 Polaków. Znalazły się w tumie Nalęcz Szamolulskich, Lehwa Tarnowskich, Roza Zakrzewskich, Polkożec Luggów, Piława Kamieniecki i inne. O ileż ten średniowieczny sposób był poważniejszy, do głębszych i szlachetniejszych przemawiał uczuć niż dzisiejsze ordery. Ale jeżeli wyprawa 43 roku ścisnęła królówi powieszoną monarchów zagranicznych, króla Anglii, króla Aragonii, i innych poselszta, jeżeli w oczach świata a po części i własnych była triumfem i powodzeniem, to z drugiej strony, jako próba siły, przez trzecznych wojowników miała inną ocenę. Potęga turecka, wspość z tak trudnym terenem, wymagały większej armii by się jej przeciwstawić. Nie łatwo, jest Turków z Europy wyrzucić. Podczas kiedy ośnieni triumfem chrześcijan wasale turecy, odzyskują wolność, gdy Skanderberg albański zrucza jarno sultanińskie, w obzbie chrześcijańskim zaczyna się mówić o potrzebie odłożenia rozprawy, o dłuższym zawieszaniu obrony. Tak chce Jerzy Serbski, tak chce Hunyady. I te dwa kierunki, jeden kucia żelaza, póki jest gotowe, drugi, rozważnego przeczekania, będą ze sobą walczyć u Władysława III. Chrześcijaństwo całe jest za projektem natychmiastowej rozprawy. Amurat II związany jest walką z Tatarami w Malej Azji. Flota zebrała przez Papieża Eugeniusza IV. Z geneuńskich i weneckich galer, pod wodzą kardynała Franciszka Condulmiera, bratanika papieskiego, zamknęli cieśniny, przeszkodzą sultanowi bronić europejskiego przedmościa. Tymczasem król niech uderzy, wyprze Turków z Bałkanów z łatwością. Tak mówi kardynał Cesarini przy boku Władysława III przebijającego. Oleńskich jest innego zdania. Potrzebny mu jest król w Polsce, by panów ukroćić; Polska cała stępkosniona za władzą królewską, chce powrotu króla; nie zaniechania walki lecz

jej odłożenia. W rezultacie w Szegedynie staje rozjem z Turkami. Na ewangelję i na koran przysięgają strony dotrzymać pokoi o nieagresji. Ale już w parę dni później przychodzą wieści, że flota Condulmiera ruszyła, że Turcy nie dotrzymują rozejmu, że nie oddali w terminie Smedrewa i innych zamków serbskich. Nacisk na króla wzrasta. Odwlekanie rozprawy na dłuższe lata mogło się wydać młodym królówi przekroczeniem wszystkich pierwotnych zamiarów. Lata tak długie się wydają, gdy się ich ma dwadzieścia! Do tego czasu zmarnieją owde wyprawy zeszlorocznej. Sultán się wzmożni, sojusznicy odpadną rozplyła flota Condulmiera, która już stoż w cieśninach. Kto wie, do tego czasu może nawet upaść Carograd. A z drugiej strony wiadomo, jak szczupłe są sily, jak ciężka będzie walka. Decyzja zapada za walką.

Nie darowano Turkom ich zwłoki w wykonaniu traktatu, wyznaczone na pierwsze do września przeprawy przez Dunaj. Długosz, zapewne eho Oleńskichiego, nie darował potem nigdy Lasockiemu, że do takiej decyzji dopuścił.

20 września ruszył król z Szegedynu. Plan wyprawy był inny niż w zeszlym roku. Przejść przez Dunaj w Oszwie i dalej wzdłuż granicy walooskiej posuwać się aż do Wary i Galaty, by tam się oprzeć o flotę Caudumiera, która sprawniejszy zadanie w cieśninach, przypłynie do portów czarnomorskich. Z początku wszystko szło dobrze. Nieduże wojska królewskie, niecałe 20 tysięcy, 3 października minęły Wisłę, podziękowali Widły, w końcu miesiąca pod Nikopolcem pobily wojska tureckie i szły dalej Wład Dracula, gospodarz walooski, który niedawno lenno tureckie zrzucił, przybiegł do króla. Ostrzegł przed potęgą turecką, ale dał wojska i syna razem z królem posłał.

I jeszcze za wieść nadeszła: kardynał Cesarini odebrał od kardynała Caudumiera wiadomość, że blokada Turków w Malej Azji zawiodła: Długosz oskarża admirałów geneuńskich i weneckich o sprzedajność; Bóg wie, ile w tym prawdy. Ale Rubikon jest już poza królem. Wojska idą dalej.

9. listopada zobaczyły one morze, zajęły Galatę, i tuż obok niej położoną Warnę.

A tegoż dnia wieczorem na horyzoncie, od zachodu, skąd chrześcijanie niedawno przyszli, ujrano tunę ognisk tureckich. Wojska Amurata były o mil kilka.

Cała potęga turecka stała pod Warną przed królem.

Nazajutrz rano stawano do bitwy. Bez strachu, bez zniechęcenia; wiadano, że przewaga liczebna nie decyduje. Król był chory. Wrzód na nodze przeszkadzał dosiadania konia, który dnia tego rwał się i narowił. Wnie szyki ustawił dowoźcownik Hunyady. Terenem była dolina na kilka stajają szeroka, między jeziorem na lewym

skrzydle, a pasmem wzgórz skalistych na prawym, na północy. Za tymi wzgórzami ciągnęło się pustkowie ku Wotoczszynie i Węgrom. Na lewym skrzydle stanął Hunyady sam z chorągwiami węgierskich baronów. Środkiem dowodził król, mając pod sobą polskie i węgierskie szyki. Na prawym skrzydle kardynał Cesarini z Węgrami i Wotoczszą. Był tu biskup Adri, Szymon z Rozogonu, najwjerniejszy stronnik Władysława jeszcze z przed koronacji. Był Franko Ban Talowac z hufcami dalmackimi, był z chorągwią Sw. Władysława Jan Abri, biskup Waradynu; ten prawym skrzydłem swoim opierał się o wzgórze. Pierwsza faza bitwy dała Turkom powodzenie na prawym naszym skrzydle, niepowodzenie na lewym. Zaczęli oni bitwę od ataku na chorągiew biskupa z Waradynu, zmuszając część ludzi do ucieczki. Chorągiew samą została; a przy niej skupieni rycerze bronili się w zwartym szyku przeciwko ómom jan-czarów. Równocześnie na lewym skrzydle i w centrum Hunyady i król natarli na Turków, wypierając ich w głąb doliny. Teraz nastąpiła druga faza boju; by poprawić sytuację prawego skrzydła, Władysław ze swoimi chorągwiami poszedł na odsiecz chorągwi swego patrona; rozpędził Turków, umocnione, ustalone prawe skrzydło dawalo możność przejścia do ataku do trzeciej, ostatniej fazy bitwy. Więc wraca król ze swoimi ku lewemu skrzydłu, ku Hunyademu i trzeci już raz od rana — dzień listopadowy już się chyli — naciera na Turków. To krzyż walki. Król łamie szyki. Turcy w półochu uciekają. Zwykłość!

I dalej trwa pościg królewski, za którym podąża Hunyady. Zapada noc.

I oto w ciemnościach tej nocy dzieją się rzeczy, których dostrzec wyraźnie nie można. Czy król się zbyt zapędził, czy Hunyady wywya do powrotu, czy Hunyady zbyt przeornie nie wykorzystuje zwycięstwa, nie daje go królówi wyzyskać?

Co się z królem stało? Widziano, że koń pod nim był ranny w bok. Ale król dalej rwał naprzód. Dlaczego cofa się Hunyady, zabrawszy co mógł z węgierskich pułków? Może go doszła wieść o śmierci króla?

Bo król już z pościgu nie wrócił. Nie wiemy, czy był kto przy nim, gdy konał tej nocy, nie mogąc dwinąć ciężkiej zbroi. Czy myślał o tym, jak teraz, po zwycięstwie, wróci do Krakowa na Wawel; by jak zawsze, jak co roku, spędzić tam święto z matką i bratem? Umierał w poczuciu zwycięstwa, czy też w poczuciu klęski? Czy przewidziewał, że to co zrobił, jest fundamentem dla przyszłych, nieustępliwych walk, że z Warny rodem będzie wiekowy, nieustępliw opór przeciw Turkom! Nie wiemy. Tylko tureckie źródła podają, że nazajutrz, w ochłodnionym od przestרחu obzbie tureckim, ogłoszono na spisie gboze Warnetyczka. Nie znaleziono ciała: na Wawelu śpi tylko postać ze spizu na pustym grobowcu.

Hunyady i reszta wojsk w półochu ucieka poprzez Wotoczszynę. Kto w bitwie nie zginął, zginął w tej ucieczce. Zginął kardynał Cesarini, zginęli dwaj synowie Zawitsy Czarnego z Garbowa i digne litanie poległych rycerzy podaje Długosz. Tymczasem Turcy zorientowali się w zwycięstwie. Dopiero pod wieczór jedenastego listopada dopadli polskich taborów, gdzie sprzeczne krążyły wieści o losach bitwy.

Co sądzić o bitwie? Czy winę młodego króla, że nie poszedł za wzorem ojca i nie stał na wzgórzu, przyglądając się walce, jak niedgdy Jagiello pod Grunwaldem? Że dał się ponieść gorącej krwi matki, krwi Holzańskich, która jeszcze w kilka pokoleń później grała w wojewoździe i biskupie wileńskim? Gdyby nie to, byłby może opanował sytuację w nocy, w której się zgubił Hunyady. Możeby w porę zatrzymał pościg, w porę skoncentrował rezerwy, odożył walkę do jutra? Nie można pisać historii tego, co by był mogło...

Kłęska warneńska brzemieniem miała skutki. W kilka lat później Turcy zgniełi Hunyadego i Serbów na Kosowym Polu, zniszczyli w Konstantynopolu ostatnie resztki tego dyktatorialnego systemu, który od Juliusza Cezara i Augusta nieprzerwaną ciągnął się linią, aż się urwał na Konstantynie Paleologu, ostatnim cesarzu rzymskim. Turcy stanęli mocną w Europie. Przez dwa i pół wieki będą ciążyć nad Polską, Węgrami, Austrią, Włochami. Zniszczył kulturę serbsko-chorwaeką wyjąwożo Bałkany w nieustannej walce przeciwko spadkobiercom królowi Jagiellończyka. Aż przyjdzie wreszcie mściciel tych kości i a tak husarii z Kahlenbergu, który półoży na zawsze kres temu niebezpieczeństwu dla kultury zachodniej.

A już na wschodzie nowa istnieć będzie wroga potęga, przeciwko której walka jeszcze i dziś się toczy...

WSPANIAŁA LEKCJA PIŁKI NOŻNEJ

Mecz piłkarski reprezentacji 2 Korpusu z „British Turing XI” rozegrany w Rzymie na stadionie narodowym dnia 14 listopada br. Polacy przegrali wysoko w stosunku 2:10 do przerwy 0:8.

Wynik szczególnie przykro zaszkodził tych, którzy na meczu nie byli i drużyny „British Turing XI” nie widzieli. Nie można jej porównywać do reprezentacji Paiforce'u, która przegrała nas 4:2 w Bagdadzie, bądź „Armił Brytyjskiej”, z którą przegraliśmy 1:0 w Anconie.

W Rzymie Anglicy wystąpili w składzie, który sami uważają za właściwą reprezentację W. Brytanii. Innej drużyny lepszej niż ta, którą oglądaliśmy w Rzymie Anglicy wystawic nie są wstanie.

Na olimpiadzie w Berlinie reprezentacja Polski pokonała amatorską reprezentację Brytyjską 5:4, ale nie mogła marzyć o spotkaniu z reprezentacją zawodowców. Doznaliśmy tego zaszczytu w Rzymie, ale to kosztowało nas 10:2.

Chłopcy nasi porażkę z Brytyjską — przyjęli głęboko i boleśnie. Nieustannie! — wygrać z „British Turing XI” nie mogli, w żadnym razie.

Nie należy mieć do nich pretensji, że w pierwszej połowie gry zaszkodził i oszołomieni poziomem przeciwnika po pierwszych trzech bramkach zupełnie potracili głowy. Z tym większym podziwem musimy patrzeć na ich zryw w drugiej połowie, kiedy potrafili strzelić dwie bramki. Przez cały mecz pomimo przynęgniatającej przewagi Brytyjskich Polacy prowadzili grę otwartą tak, jak by chcieli wygrać. Nawet wówczas, gdy Brytyjczycy prowadzili 9:0. To było imponujące, ale błędne. Obrona i po-

moc więcej współpracowała z atakiem niż z bramkarzem.

Brytyjczycy, którzy mieli większą pewnością zwycięstwa, grali ostrożniej niż my. Hez razy też pomoc cofała piłkę do własnego bramkarza! Mimo to jednak wynik 10:2 jest za wysoki i krzywdzący. Powinniśmy byli strzelić jeszcze dwie — jak się to mówi — „murowane” bramki. Raz gdy z pięciu metrów Borowski przestrzelił do pustej bramki wzdłuż linii bramkowej, i dwa, gdy piłka strzelona przez Szewczyka odbiła się od nóg Mikundy znajdującego się w tej chwili w bramce brytyjskiej.

Mówiąc o bramkach strzelonych nam, trzeba stanowczo stwierdzić, że sędzia niesprawiedliwie uznał za punkt na naszą niekorzyść łatwą piłkę chywcącą przed Wojczaka rzekomo poza linię bramkową. Jak to mógł zauważyć sędzia znajdujący się na poziomie boiska — trudno zgadnąć!

Bramkę tę wspomina sędziemu nawet angielski „Union Jack” w swojej recenzji z meczu.

Drużyna brytyjska dopisała jako czołowiec. Pokazała ona rzeczywiscie koncertowe zagranie i najwyższy kunszt piłkarski. Z naszych graczy najbardziej podobał się Szewczyk i Habowski. Zdobyli oni dla nas dwie bramki. Szewczyk zbierał oklaski za doskonałe zagranie indywidualne. Habowski dobrze podawał do środka, drybłował i strzelał.

Wojczak nie miał swojego dnia. Zawinił on trzy bramki, ale pozostałych sześciu nie obroniłby żaden inny bramkarz.

Biorąc pod uwagę to wszystko można stwierdzić, że wynik 6:4 bardziej by odpowiadał przebiegowi gry.

J. Włodarkiewicz

Ks. Walerian Meysztożicz

„Cricket“ w Polsce

— „Ilu Żydów zginęło w Jassach, owej nocy?“ — zapytał mnie Frank ironicznie, wyciągając nogi w stronę kominka; przy tym zaśmiał się łagodnie.

Inni również łagodnie się śmiali spoglądając na mnie z czymś w rodzaju współczucia. Ogień trząskał w kominku, zaryzaliście śnieg bębnił białymi palcami na sztach okien. Niekiedy zrywał się wicher, lodowaty wicher północny, wyjąc w pobliższych ruinach hotelu Angielskiego i wzdymając kłęby śnieżnego pyłu na olbrzymim placu Saskim. Wstąpiłem, podszedłem do okna i przez zamknięte szyby przypatrywałem się placowi, tonącemu w poświacie księżyca. Niktę cienie żołnierzy przesuwały się po chodniku hotelu Europejskiego. Tam, gdzie dwadzieścia lat temu wznosił się warszawski prawosławny sobór, który Polacy zburzyli wypełniając ponępną przepowiednię mnicha, obecnie śnieg rozścielał się niczym przeszedł do nieskalanej bielei. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na Franka, po czym i ja sam zacząłem się śmiać łagodnie.

— „Oficjalny komunikat prezesa Rady Ministrów, Mihai Antonescu, odpowiedziałem, przyznawał się do pięciuset ofiar. Cyfra jednak oficjalnie ustalona przez pułkownika Lupu brzmi siedem tysięcy zabitych Żydów.

— „Niezła cyfra, rzekł Frank, ale sposób nie jest uczciwy. Tak się nie robi!“

— „Nie, tak się nie robi!“ — potwierdził gubernator Warszawy, Fischer potrzaskując przecząco głową.

— „Sposób niecywilizowany“, dodał z akcentem odrazy gubernator Krakowa, Waechter, jeden z zabójców Dollfusa.

— „Naród rumuński nie jest narodem cywilizowanym“, pogardliwie dorzucił Frank.

— „Ja, es hat kein Kultur!“ — potwierdził znowu Fischer i potrząsnął głową.

— „Fomino że nie posiadam serca tak czulego, jak pańskie — mówił Frank — rozumiem i podzielim pana wstręt do masakry w Jassach. Potępim pogromy jako człowieka, jako Niemiec i jako gubernator Polski.“

— „Very kind of you!“ — skłoniłem się.

— „Niemy są krajem o wyższej cywilizacji i brzydzią się pewnymi metodami barbarzyńców — ciągnął Frank rzucając dookoła wzrokiem szczerze oburzoną.“

— „Naturlich“ — zawtórowali wszyscy jak jeden mąż.

— „Niemy — rzekł Waechter — mają wielką misję cywilizacyjną do wypełnienia na wschodzie.“

— „Słowo „pogrom“ nie jest słowem niemieckim“, powiedział Frank.

— „Słowo żydowskie, oczywiście“, uśmiechnął się.

— „Nie wiem tego, czy to jest słowo żydowskie, odparł Frank, ale wiem za to, że nie istnieje ono i nigdy nie będzie istniało w słowniku niemieckim.“

— „Pogrom jest specjalnością Słowian“, wturcił Waechter.

— „My, Niemcy, kierujemy się w każdej rzeczy rozumem i metodą, nie wierzymy instynktami: postępujemy zawsze naokoło. Kiedy jest konieczne, ale tylko kiedy to jest naprawdę konieczne — powtórzyl Frank rozdziałając sylaby i wpatrując się we mnie, jak gdyby chciał mi wyręć na czole własne słowa — naśladujemy sztukę chirurga, nie zaś rzemieślnika. Czy widział pan kiedy — dodał — masakrę Żydów na ulicach miast niemieckich? Nie, prawda? Co najwyżej jakąś demonstrację studencką, jakiś niewinny wybrk młodzieży. A przecież za jakiś czas w Niemczech nie znajdzie się jednego Żyda na lekarstwo.“

— „To jest kwestia metody i organizacji“, dodał Fischer.

— „Mordowanie Żydów nie jest w stylu niemieckim, ciągnął Frank. Robota głupia, daremne tracenie czasu i sił. My ich deportujemy do Polski i zamykamy w ghettach. Mogą tam robić, co im się żywnie podoba. W ghettach miast polskich żyją żyją, niczym w wolnej republice.“

— „Niech żyje wolna republika ghelta w Polsce!“ — zawołałem wznosząc kielich Mumma, jaki mi z wdziękiem podała Frau Fischer. Krzyknęło mi się nieco w głowie i byłem usposobiony bardzo życzliwie.

— „Vivaldi!“ zawtórowali mi wszyscy chórem, podnosząc kielichy szampana. Pili i patrzyli na mnie ze śmiechem.

— „Mein lieber Malaparte — ciągnął Frank kładąc mi dłoń na ramieniu z poufałą serdecznością — naród niemiecki padł ofiarą ohydnych potwarz. My nie jesteśmy narodem morderców. Chcę wierzyć, że po powrocie do Włoch opowie pan o tym, co widział w Polsce. Pańskim obowiązkiem człowieka uczciwego i bezstronnego jest głoszenie prawdy. I będzie pan

CURZIO MALAPARTE

SZCZURY (VII)

mógł powiedzieć z czystym sumieniem, że Niemcy tworzą w Polsce jedną wielką, pracowitą, spokojną rodzinę. Proszę rozszerzyć się naokoło: znajduje się pan w szczyrim, prostym, uczciwym domu niemieckim. Niech pan spojrzy“ — i to mówiąc wskazał ręką dokoła siebie.

Odwróciłem się i spojrziałem. Frau Fischer wyjęła z szuflady kartonowe pudelko, z pudełka zaś duży kłębek wełny, dwa druty, ledwie zaczęta pończochę oraz motki szarej wełny. Przelotnym skłonieniem poprosiwszy o pozwolenie Frau Brigitte Frank, nałożyła na nos okulary w metalowej oprawie i najspokojniej wzięła się do roboty. Frau Brigitte Frank rozmożala wełnę nanizawszy ją sobie na rękę i rozpiąwszy pasmo na przegubach dłoni Frau Waechter która związał je w kłębek, szybko i z wdziękiem potuszając rękami: Frau Waechter siedziała mając ściśnięte kolana, blist wyprostowana, ramiona zgięte.



Wielki ołtarz w kościele S. S. Wyzwół w Warszawie (do art. na str. 10.)

te na wysokości piersi i ułatwiało usłownym ruchem przegubów rozwijanie się motka bez wzdrow. Wszystkie trzy kobiety uśmiechając się tworzyły obraz mieszczkańskiego uroku. Generalgouverneur Frank rzucał trzem uśmiechniętym kobietom pochłoniętą pracą spojrzeń, w którym bliskały czujność i duma. Tymczasem Keith i Emil Gassner w kawalki krajali torty „połnocne“ i rozlewali kawę do dużych porcelanowych filiżanek.

Poprzedz lekkie zamroczenie winem, z owej sceny mieszczkańskiej, w przysagzonym tonie prowincjonalnego wnętrza niemieckiego, (pobieżanie drutów, trzask płomienia w kominku, przysłuchanie skrzyknięcia zębów żyjących tort, cichy dźwięk filiżanek z porcelany), jakiego przynębięciem z wolna szczyło mi się w serce. Dłoń Franka oparta na mój ramieniu, nie ciągnąc mi, przecięła przynębięciem. I z wolna, rozkwitując i oceniając jedno po drugim wrażenia, jakie Frank we mnie budził, starając się wyraźnie i określić w głowie powody, pozory i znaczenie każdego jego słowa, każdego gestu, każdego czynu, próbując złożyć z elementów zebranych w ciągu tych dni naokoło jego osoby, jego portret duchowy, przekonywałem się, że nie był to człowiek nadający się do osądzenia na przed.

Przynębięciem, nachodzące mnie zawsze w jego obecności, rodziło się właśnie z wielkiej zaślony jego natury, szczególnej mieszczki okrutnej inteligencji, finezji i pospolitności, brutalnego cynizmu i wyrafinowanej wrażliwości. Rozciągała się na pewno w nim stręca ciemna a głęboka, której nie udało mi się zbadać: ponure królestwo, niedostępne piekło, skąd niekiedy wstawał przelotny, mętny blask, oświecający niespodziewanie jego niedostępne oblicze, owego niepokojącego, fascynującego oblicze tajemne.

Sąd, jaki sobie od dawna wyrobiłem o Franka, był bez wątpienia ujemny. Znałem z niego tyle, ile mi wystarczało, aby mieć do niego wstręt. Sumienie odmawiało mi jednak prawa poprzestania na owym sądzie. Spśród wszystkich składników, jakie z Franka posiadałem, wyciągniętych częściowo z cudzego, częściowo z własne-

go doświadczenia, czegoś jednak brakowało, sam nie umiałem powiedzieć czego: składnika, którego nawet natury nie znam i którego nagłego objawienia się oczekiwałem każdej chwili.

Spodziewałem się, że uchwyć u Franka jakiś gest, jakieś słowo, jakieś postępek, które mi odkryją jego prawdziwe oblicze, oblicze tajemne. To słowo, gest czy postępek powinny być nagle wtargnąć w ową strycz ciemną a głęboką jego duszy, gdzie ciemno instyktownie, że korzenie jego okrutnej inteligencji, jego wyrafinowanej wrażliwości muzycznej tkwiły w pokładzie chorobliwym, w pewnym znaczeniu kryminalnym, jego natury.

— „Tak wygląda Polska: uczciwy dom niemiecki“, powtórzyl Frank ogarniając spojrzeń scenę mieszczkańską rodzinnej zaślony.

— „Diaczego — zapytałem — nie zajmie się pan również jakąś robotą kobiecą? Pańska godność Generalgouverneura nie by na tym nie ucierpiała. Nawet król Szwecji, Gustaw V lubi kobiece roboty. Wczoraj, w otoczeniu rodziny i bliskich, król Gustaw V haftuje.“

— „Ach so?“ wykrzyknęły zdziwione i ubawione panie z niedowierzaniem.

— „A i coś innego ma robić król neutralny? — roześmiał się Frank. Gdyby tak był Generalgouverneur Polski, czy zdaje się państwu, że król Szwecji znalazłby czas na haftowanie?“

— „Pewny jestem, że naród polski byłby o wiele szczyśliwszy — odparł — gdyby miał Generalgouverneura, który haftuje.“

— „Ah ah! ależ to naprawdę pan ma idee fixe!“ — zawołał Frank ze śmiechem. — „Niedawno chciałem panu przekonać, że Hitler jest kobieta, dzisiaj ustulę mi pan wzięć, abyśmy się zabrał do robot kobiecych. Słdzi pan naprawdę, że Polskę można rządzić przy pomocy drutów do robienia pończoch i igły do haftu? Vous etes tres malin, mon cher Malaparte!“

— „W pewnym znaczeniu pan również haftuje. Pana dzięki polityczne stanowi prawdziwy haft.“

— „Bo też ja nie jestem królem Szwecji, który lubuje się w rozrywkach pensjonarek — powiedział Frank z dumą w głosie. — Ja haftuję na płótnie nowej Europy“. Po czym wolno, królewskim krokiem przemierzył pokój, otworzył drzwi i zniknął.

Usiadłem przy oknie, w fotelu, z którego mogłem ledwie odwrócić głowę ogarnąć wzrokiem cały ogromny plac Saski, domy z zerwanymi dachami poza Europejskim i ruiny pałacu obok hotelu Bristol, na rogu uliczki zbiegającej ku Wiśle.

Spśród krajobrazów stanowiących to moich nędznych doświadczeń, ten był moim memu sercu najdroższy; nie mogłem też patrzeć nań w owej chwili, z owego pokoju w pałacu Bruchla i w podobnym twórczym, bez czegoś w rodzaju smutnego upokorzenia. Widok ten, tak bardzo dawny i bliski, stał mi przed oczami po przeszło dwudziestu latach ze zmęconą bezpośrodkością starej, wyblakłej fotografii: i z dalekiego horyzontu lat 1919 i 1920 dni i noc Warszawy powracały mi w świeżości ówczesnych form i uczuć.

Z pogodnych pokojów, pachnących kadzidłem, woskiem i wódką, w małym domu na rogu zaułka, który w głębi wychodzi na plac Teatralny, gdzie zamieszkiwała z wnuczkami kanoniczka Potocka, słychać było dźwięki starych kościołów Starego Miasta, dzwiczące w mro aym i czystym powietrzu zimowej nocy. Czerwone usta dziewcząt uśmiechały się, kiedy stare matrony, zebrane u kominka kanoniczki, rozmawiały ze sobą po cichu, złośliwie a tajemniczo. W sali Malinowej Bristolu młodzi oficerowie ujanów uderzali nogami w taki mazurka, krzątując dokoła jasnowłosego rządu dziewcząt w jasnym sukienkach. O oczach pełnych dziesięciu ognia. Stara księżna Czarnoryska o szyi pomarszczonej, siedemkier owiniętej oltryzmym sznurem perł, spadający jej na jono, siedziała milcząc przed starą markizą Wielopolską, w pałacyku przy Alejach Ujazdowskich, przy oknie, w którego szybach odzwierciedlały się drzewa alibi: obito się lip rozplywało się w ciepłym pokoju zabarwiający zielono delikatne dywany Perskie, mobilie Louis XV, portrety i krajobrazy szkoły francuskiej i włoskiej w guście Trianon i Schoenbrunn, stare srebra

szwedzkie, rosyjskie emalie z czasu Katarzyny Wielkiej.

I długie letnie popołudnia w chłodnym pościenu nuncjatury apostołskiej, z nuncjuszem monsignorem Achille Ratti, który później został papieżem Piusem XI, oraz z sekretarzem nuncjatury, monsignorem Pellegrinetti, który później został kardynałem. W parnej kurawie trzeszczały masyżowe karabiny sowieckie wzdłuż brzołów Wisły, a pod oknami nuncjatury tętniły konie trzeciego pułku ulanów, pędzące na spotkanie z czerwonymi kozakami Budiennego.

Na balach poselstwa angielskiego ks. Olga Radziwiłł, o jasnym, kędzierzawym włosach, krótkich, niczym u chłopca, rozsefinała, wsparta na ramieniu młodego sekretarza brytyjskiego poselstwa, Cavendish Bentinck, podobnego do Ruperta Brooke, i przypominającego „młodego Apollina“ ze słynnego epigramatu mrs. Cornford, „magnifiquement unprepared for the long littleness of life“; i Izabella Radziwiłł, wysoka, smukła brunetka z długimi włosami, jakby z czarnego jedwabiu, i oczami pełnymi pogodnej nocy, stojąca we wniec okna tuż obok angielskiego generała bez jednego oka, jak Nelson, i jak Nelson bez jednego ramienia, który mówił do niej po cichu i śmiał się jasnym śmiechem zakochanego. Ohi to była na pewno zjawia, miła zjawia-podczas dalekiej wycieczki w Warszawie, ów general angielski Carton de Wiart, śpiący na jedno oko i pozabawiony jednego ramienia, który wiosną 1940 r. dowodził oddziałami brytyjskimi, lądującymi w Norwegii. I ja sam byłem na pewno zjawia, młoda zjawia z mintoniejskiej epoki, może szczerze śliwej.

Ja również byłem cieniem, smutnym a niespokojnym; przed tym oknem i tym widokiem z moich lat młodych. Z głębi pamięci powstawały uśmiechające się uroczyste cienie oddalonej i jasnej epoki.

Przymknąłem oczy i patrzyłem na owe blade obrazy, słuchając drogiej głosu, le-dwie ze przysłuchanych czasem, kiedy mi do uszu doszła siołka muzyka. Były to pierwsze nuty „Preludium“ Szopena.

W ścisłym pokoju (widziałem go przez niedomknięte drzwi) Frank siedział przy fortepianie pani Beckowej, z głową spuszczoną na pierś. Czoło miało blade, wilgotne od potu. Dumna twarz spokiowała w wyrazie głębokiego cierpienia. Oddychał z trudem, przyszykując doina wargę. Oczy zamknął i widziałem, jak mu drżą powieki. „To jest chory“, pomyślałem. I naraz owa myśl sprawiła mi przykreść.

Dokoła mnie wszyscy słuchali w milczeniu, wstrzymując oddech. Ono „Preludium“ tak czyste, lekkie, unosy się w powietrzu zupełnie jak ulotki propagandowe, zrzucone z samolotu. Na każdym tonie czerwieniali wielkie drukowane litery: „Niech żyje Polska!“ Patrzyłem poprzez szybę okna na plaki śniegu, wolno wirujące na ogromnym placu Saskim, pułstym w świetle księżyca, i na każdym plaku wielkim; literami czerwieniali: „Niech żyje Polska!“ Były to te same słowa, drukowane tymi samymi czerwonymi literami, które przeszło dwadzieścia lat temu, w październiku r. 1919 czytalem w tonach Szopena, co się czyste a lekkie zrywały spod białych, delikatnych, cnych rąk prezesa Rady Ministrów, Ignacego Paderewskiego, siedzącego przy fortepianie w wielkiej czerwonej sali Królewskiego Zamku w Warszawie. Były to dni marnotrawstwa Polski. Polska szlachta i cała dyplomacja zbierały się często wieczorem w Zamku, dokoła fortepiana premiera. Uśmiechnięty cień Szopena snuł się pomiędzy nami i dreszcz przebiegał po naszych plecach i ramionach młodych kobiet.

I teraz, w pałacu Bruchla, o parę kroków od ruin Królewskiego Zamku, w ciepłym powietrzu tego „mieszczkańskiego wnętrza niemieckiego“ czyste a buntownicze nuty Szopena zrywały się do lotu spod białych, delikatnych rąk Franka, z niemieckich rąk Generalgouverneura Polski: bunt i wstyd zarapanym mi czuło.

— „Oh, gra, jak antioł“, szepnęła Frau Brigitte powstała z impetem, odrzucając kłębek wełny, podszedła do niego i ucatowała mu rękę. Frank podając je do tego pocałunku, tak pełnego pokory i religijnego zapachu, przybrał wyraz godności kapłańskiej, jak gdyby schodził w tym momencie ze stopni ołtarza po celebrowaniu mistycznej ofiary: oczekiwał niemał, że Frau Brigitte padnie w adoracji na kolana. Ale Frau Brigitte umijając rękę Franka i podnosząc je zwróciła się do nas: „Spójrzcie — rzekła z triumfem w głosie — spojrzcie, jak wyglądają ręce antioł!“

Przypatrywałem się rękóm Franka: były one, delikatne i bardzo białe. I zdumiony byłem i rad zarzew, iż nie dostrzegam na nich żadnej karawej plamy.

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) Tak, brak mu kultury.

**) Pan bardzo łaskaw.

*) Pan jest bardzo złośliwy, drogi Malaparte.

*) Świetnie nie przygotowany na długi okres młodości życiowych“.

Warszawę zobaczyłem po raz pierwszy 17 czerwca 1919 r., w okresie, kiedy traktat wersalski nie był jeszcze podpisany oraz kiedy ktoś, kto chciał dostać się do Polski, musiał jechać pociągami wojskowymi, okrężną drogą przez Wiedź. Szczęśliwie przedtem udam się do pana Wickham Slead, redaktora „Timesa” i zapytałem go, czy mógłby dla mnie znaleźć jakąś pracę w dziele zagranicznym tego dziennika. Pracowałem w nim już poprzednio przez ok. 18 miesięcy przed wojną. Odpowiedź jego brzmiała: „Masz pracę. W Europie powstanie w najbliższym czasie co najmniej 6 nowych państw — będziemy potrzebowali korespondentów na terenie prawie każdego z tych państw. Jak pan się zapatrjuje na swój wyjazd do Polski?”. Wiadomości moje o Polsce były w tym okresie czasu bardzo skąpe. Szkoły angielskie nie poświęcały Polsce dużo czasu. Ktoś określił mi kiedyś Polskę jako „Irlandię Rosji”. Za mało wiedziałem wówczas o Polsce, żeby zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo to określenie było niewystarczające i mylne. O ile by mnie ktoś spytał o nazwiska trzech słynnych Polaków, pomyślałbym prawdopodobnie o Sobieskim i Kościuszcze, a potem, jako ostatnią deskę ratunku, wymieniłbym Szopena lub Paderewskiego. Niemniej jednak przjąłem swój nowy przyjazd z entuzjazmem i rozpocząłem naukę zmierzającą do rozszerzenia moich wiadomości o Polsce. O poczynaniach tego kraju miałem informować brytyjską opinię publiczną przez półtora roku.

Pamiętam, że byłem bardzo przyjemnie zaskoczony, gdy przyjeżdżasz do tzw. strefy wojennej przekonałem się, że choźdzą w niej tramwaje i czynne są telefony. Pod innymi względami Warszawa nie wyróżniała mnie korzystnego wrażenia. Domy były ile utrzymane, chodniki na ulicach budowane nieumiejętnie i nieporządnie. Sama Warszawa była wyjątkowo natłoczona uciekinierami z Rosji i ziem wschodnich. Wśród uboższych sfer ludności zbierały plon epidemie i głód. Charakterystycznym jednakże i dominującym rysem było to, że Warszawa jak gdyby nie posiadała swego właściwego oblicza oraz wydawała się niegodną nazwy stolicy narodu, posiadającego tak silną indywidualność, jaką mają Polacy. Architektura ulic była nad wyraz monotonna i nudna. Przypominam sobie, jak kilka miesięcy później spotkałem skąd inąd kulturalną i inteligentną Polkę, która prawie całe swoje życie spędziła za granicą i podobnie jak ja, po raz pierwszy zobaczyła Warszawę. Była ona gorzko rozczarowana.

„Jakież to prowincjonalne i pospolite miasto!” — lamentowała — „Przecież to zupełnie wygląda jak Piotrków lub Łomża”.

Reakcje jej były podobne do tych, które i ja miałem na początku. W tym jednak okresie czasu, kiedy ją spotkałem, zaczynałem już poznawać pewne rzeczy, które pozostawały w ukryciu pod nie interesującą powłoką. Już w tym czasie byłem przygotowany na podjęcie się zadania obrony przed samym sobą Warszawy jako stolicy naszego państwa. Przeszedłem do parku Łazienkowskiemu, zauważyłem, że mimo małego terenu, który zajmował, był godnym odzwierciedleniem i kontynuacją dawnego polskiego morawstwa. Na Zamku, na Starym Mieście znalazłem inne dowody polskiej wielkiej historii. Zdąłem sobie sprawę ze swojego czaru i uroku architektury niektórych kościołów i przywrażeń pałaców. Zaczynałem mnie interesować życie miasta, rekreacji, ćwiczeń w barakach pod komendą „ruch dwa, raz dwa” swoich szeregów i „instruktorsku” studentów i studentek, w białych czapkach, rozmawiających po drodze na wykłady; jednym w swoim rodzaju sposobem bytowania Żydów na Nowakach, przypominających sardyńską w podziemiu, działalność dziennikarzy, artystów i polityków. Zaczęłem orientować się i poznawać kawiarnię i (trzeci nie mniej ważny) winiarnię, znajdujące się w pobliżu placu Teatralnego, gdzie w dyskretnej bocznej sali można było wypić w spokoju z przyjaciółmi butelkę tokaju z długą szczyką. Balet w teatrze stał na poziomie artystycznym, z którego mógłby być dumnym każdy inny naród.

Reasumując to wszystko zacząłem powoli trzymać rękę na pulsie narodu i poznawać flosz jego uderzeń. Warszawa zaczynała wtedy z podmiotem po okupacji odnajdywać swoją duszę. Nie wiem, czy w latach późniejszych procesie były w dalszym ciągu tak ważną cechą charakterystyczną życia miasta. W okresie jednakże mego pobytu, bodaj że co dzień można było zaobserwować przynajmniej jedną. Posuwała się godnie i wolno, zazwyczaj Krakowskim Przedmieściem, z wysoko podniesionymi szlaczardami — mężczyźni i kobiety śpiewali patriotyczne pieśni. Był to jeden z sposobów wyrażenia radości narodu z posiadanej wolności. Było to w

W OCZACH ANGLIKA

okresie niespokojnych dni, kiedy polscy żołnierze walczyli jeszcze na wschodzie i zachodzie. Stopniowo jednak wojna dochoziła do fazy końcowej, granice zostały zabezpieczone i ustalone, a umysły ludzi zaczęły zwracać się w kierunku budowania i planowania nowego państwa. Zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że ta dusza Warszawy, którą teraz poznaję, obiecała się wkrótce w nowe szaty. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do miasta, można było z powodzeniem wymienić wiele ulic z odpowiednimi ulicami Kijowa lub Charkowa i nikt by nie zauważył żadnej różnicy. To samo tyczy się restauracji i kawiarni. Tera jednakże zacząłem dostrzegać subtelne zmiany w sposobie dekoracji domów. Restauracja na przykład przemawiała swoje wnętrze i każdy mógł z miejsca zauważyć, że styl tego wnętrza był zdecydowanie polski; pierwsze oznaki wyróżniającej się nowoczesnej polskiej architektury można było zobaczyć w nowych willach, budowanych na niektórych przedmieściach miasta.

Zmiany te były prawie nieuchwytne. Ze znaczenia ich jednak zdałem sobie sprawę

z racji faktu, który zaszedł w r. 1921, przy końcu mego pobytu na terenie tego kraju. Na podstawie traktatu ryskiego zabytki sztuki, które wywyczone zostały z Polski do Piotrogradu na początku wojny, zostały z powrotem przywiezione na swoje stare miejsca. Między pierwszymi zabytkami sztuki, które powróciły do Polski, był cykl obrazów Warszawy, malowanych przez Canaletta dla Króla Stanisława Augusta około r. 1760. Obrazy te były dla mnie rewelacją, zobaczyłem na nich wiele pataców i kościołów z XVII i XVIII wieku, które były mi znane. Nie były one jednak wtedy otoczone popsyłymi nowoczesnymi budynkami, które powstały w ubiegłym wieku, lecz pełnymi czaru parkami i bulwarami warszawskimi, które były tak bardzo polskie w charakterze jak Kraków, a którego to charakteru trudno mi się było dopatrzeć w Warszawie z r. 1919. Wtedy zrozumiałem, dlaczego Polacy tak bardzo chcieli zburić rosyjski sobór na placu Saskim (złociście kopuły, które my, Anglicy, utrakdim podziwialiśmy) i zdalem sobie sprawę z tego, że Polacy pręsknięci byli dążeniem do posiadania stolicy, któ-

ra byłaby ich prawdziwą własnością oraz która byłaby wyrazem polskiego charakteru i jego artystycznego geniuszu.

Kiedy po dwu i pół latach wyjeżdżałem z Polski, wiedząc jeszcze było kupuję rosyjskiego soboru, most Poniatowskiego były w dalszym ciągu zniszczone, czyniąc w ten sposób z dolnej części Alei Jerolimskiej pułki pas asfaltu, po którym można się było spokojnie przechadzać. Nowy dworzec kolejowy nie był jeszcze zbudowany, a nowoczesne przedmieścia były nadal marzeniami architektów i ludzi, którzy zajmowali się planowaniem nowego miasta.

Wyobrażam sobie, że budowa i przebudowa, jakie miały miejsce w następnych latach doprowadziły do stworzenia miasta, które było prawie tak różne od tego, które ja znałem, jak z koleją to ostatnie było różne od Warszawy przedstawianej na obrazach Canaletta. Wiem o tym, że Polska była dumna ze swojej stolicy.

Obecnie miasto to już nie egzystuje. Po przecięciu podwójnego męczeństwa Warszawa przestała być miastem i stała się grobem tysięcy swoich dzielnych obrońców. Kiedy po raz pierwszy przechadzałem się ulicami Warszawy, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że to dla mnie nie wówczas nie znaczące i niczym nie wyróżniające się miasto — wyróżni się w ten właśnie sposób.

Christopher Lumby

NEOKLASYCZNY WDZIEK WARSZAWY

W zimie poprzedzającej nadludzi konflikt, w którym Polska miała ognistymi literami zapisać najwzmoższe moze strony heroizmu w całej nowoczesnej historii, zdecydowałem się — z racji moich studiów

zaczynają patrzeć dopiero przy 10° poniżej zera), zabrałem się do zwiadzenia wabytków, ileż odkryłem niespodzianek! Barokowe i rokokowe kościoły Świętego Krzyża i Wyzwiekt przeniosły mnie nagie

swynych murach ukazywał mi serię elegancjki sal o szluzie wyrafinowanej, naprawdę dworskiej — od sal Canaletta, prostej w delikatnych liniach, oraz sal Mirowskiej, bogatej w żłobione pilastry, cienkulek festony, przesłane supraporty, ożywione amorkami, poprzez ogromną salę audiencjalną, lśniąca od okólnych girlandami luster, potęgających jeszcze efekt przestrzeni i światła, salą tronową o doskonałej harmonii, gdzie bogactwo ozdób zamyka się w surowych ramach geometrycznych — aż po tryumf sal balowej: uroczyście kolumny korynckie na marmurowych cokółkach podtrzymujące nakołek architrav, co wywołuje silny efekt architektoniczny; lustra i arkady, rozdzielone parami kolumn, wielka nisza pośrodku jednej z długich ścian, rzymska w pomieszczeniu i owalny sufit z wizją Olimpu, freskiem Bacciarello.

Jest to jedna z najpiękniejszych sal neoklasycznych, jakie dotąd widziałem.

Wyprzedzając o całe dwadzieścia lat cesarstwo napoleońskie dowodzi ona jak ten styl o najdelikatniejszym wdzięku, utrzymując zawsze rytm i umiar kompozycji, umiał się zdobyć na imponującą wytworność form, pozwalających wskreszyć chwałę dalekiej przeszłości w najzupełniej nowym duchu.

Kiedy opuściłem Zamek, Warszawa miała mi objawić swój majestat w innej jeżce królewskiej rezydencji: pałacu Łazienkowskim, zbudowanym przez Włocha, Domenico Merlini. Istny ten klejnot, niby pałac z bajki, umieścił architekt pośród wielkiego parku, nad wodą jeziora.

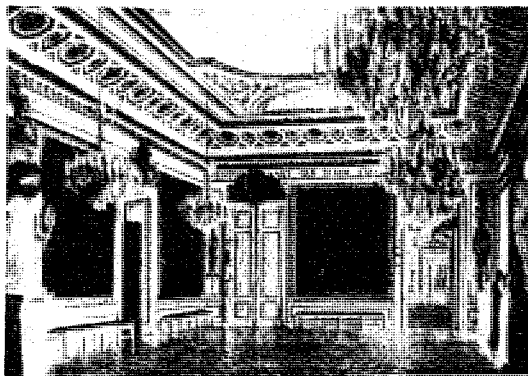
Fasada ze swymi kolumnami, lizenami i obramowaniami okien; tarasy i wysmukłe posągi, wnętrza, które ukazują, jak architektura i dekoracja, ściśle związane, dążyły do stworzenia form pogodnych i podniosłych poprzez elegancką stylizację mas i linii, w niezamąconej harmonii białych sztuków, pawłony boczne, teatr na wyspce przeciwięglej — wszystko to razem wolało o pogłębione studium, które by uwydatniło całe to delikatne piękno.

I dalej — królewska Warszawa objawiała mi swój arystokratyczny wdźwięk neoklasyczny w całym rzędzie pałaców z tego czasu, albo w tym czasie odnowionych, jak pałac Krasińskich, Mostowskich, Bank Polski, Ministerstwo Skarbu (dawniej pałac Leszczyńskich), Uniwersytet...

Teraz zapytuję sam siebie z sercem wezbranym bólem, co się z tego uchroni przed zaciekłymi barbarzyńców? Przeglądam katalogi, jakie kupilem na miejscu, i strasliwa obawa ze zgrozą nasuwa mi myśl, że może już raczej tylko z katalogów będzie można studiować zabytki, które w moim umyśle postawiły polską stolicę wśród najważniejszych w Europie pod względem sztuki.

I tak nawet owa niepowetowana nieczym strata podobnych skarbow jeżce bardziej jeżce Polskę i Włochy. Niech nam będzie pociechą ta pewność, że jedno z najbłędniejszych poświęceń, na jakie się może zdobyć naród, poświęcenie dzieł sztuki, najcenniejszego dorobku wieków jego historii, nie pójdzie na marne, jak na marne nie pójdzie ofiara jego bohaterów. Bo z tych poświęceń przyjdzie odrodzenie i chwata.

Giulio R. Ansaldo



Sala przyjęć na Zamku Królewskim w Warszawie

w zakresie historii sztuki — zakończyć na Warszawie moje peregrynacje poprzez Europę. Historycy sztuki na ogół do Warszawy nie jeżdżą; ośrodek to zbyt oddalony i mniej bogaty w skarby sztuki, jakimi się chlubią inne główne europejskie stolice. Kilka jednak ogólnych wiadomości, kilkanaście zdjęć zachęcało mnie do poznania tego miasta, gdzie też w końcu przybyłem w grudniowy wieczór.

Wywarło ono na mnie urok od pierwszego spojrzenia dzięki swemu wesołemu, świątecznemu charakterowi, jaki mu nadał tłum elegancji i ożywiony. W barze hotelu Europejskiego, gdzie niezawodnie zachodzi każdy cudzoziemiec, a będącym czymś w rodzaju kalejdoskopu miejscowego świata, zetknąłem się po raz pierwszy z życiem stolicy polskiej; życiem przypominającym bez porównania więcej Paryż, niż inne miasta północnej czy wschodniej Europy. A gdy następnego, lodowatego poranka (lodowatego) — przynajmniej dla nas potudniowców, bo Warszawa zapewniali mnie, że na termometr

w centrum Rzymu: fasada pierwszego nasunęła na myśl Trinita dei Monti i św. Zuzanna, wnętrza zaś drugiego ze swoim przepychem kolumn, gzymsów i sztuków — liczne kościoły papieskiego Rzymu za przeciwireformacji. To, co mi obiecywały fotografie, ożyło mi teraz przed oczyma i z miejsca dało pojęcie o ścisłych związkach obu krajów na polu sztuki. Moją uwagę naukową, którą uderzały i inne okazy baroku włoskiego, lub z włoskim spokrewnionego, przyculi jednak nade wszystko nowy neoklasyczny charakter eleganckiej stolicy.

W Polsce, jak zresztą jeszcze w wszystkich krajach Europy, ten okres sztuki jest w zaniedbania, chociaż od połowy mniej więcej XVIII w., odkąd się zaczyna, aż po zmiernych Napoleona nie tylko że potrafili dać wspaniałe arcydzieła, ale i wycisnąć na każdym przejawie ówczesnej sztuki i życia piętno niezafarte, tak że można uważać, iż stworzył on wielki styl, a nawet ostatni wielki styl.

I Warszawa dawała mi przepiękne jego przykłady. Zamek królewski w swych ma-

JAN OLECHOWSKI

JESIEŃ RZYMSKA

Z pustyni rzek babilońskich, jerozolimską drogą

Ciężniemu chmurny pochód — żalobne wspomnienia.

Wciąż uparcie szukamy zabitego Boga —

By w nagłej trwodze błagać o Iskę wskrzeszenia.

Na gruzach wzniostych ruin, padłych dziełow śladach

Badamy moc przerażeń — skamieniałych cieni.

Deszczem szcceptem bez sensu wiatr na twarz opada

Szarpając smułki, troski — liście rzymskiej jesieni.

A gdy wieczór nad miastem ciągnie kurtynę

I sen nie dotknie powiek zapomnieniem krótkim,

Gdzieś w podziemnych tawernach obłąkami winem

Odpychamy zle myśli — gorzkie prostytutki.

Jest przed księżycem i nie nie widać na Widnie. Cała męzkaśca góra żyje cicho. — Królówno meczennikówt!... — gasną żyła ludzkie w pół litanii.

Leżą w polskich, leżą w niemieckich mundurach. Między Niemiec odrzucił kopniastą czupryną i leży — zeszywniały na zawsze. Kiedy po drugim natarciu robotnicy kompanii włoskiej znośli jego rozkładające się już ciało, w portfelu jego znalazono dwa listy:

REDULTOWY, 7. V. 44.

„Mein Geliebter Sohn

Mój Kochany Synie,

Siadam do stołu i heca Ci parę słów napiszę ale siem nieszampurt ciem popzdawiam ty słowy n.b.p.J.Ch.

Synoczku! dzisiaj jest niedziela i mom troszka czasu to ci heca pora słów napisać ale ciem najsampurt pisza że by som wszysej zdrowi co ciebie tego samego zczymy coy ciem ty pora miot słów przy nieszampurt zdrowiu zastoi. Siegmundku (dzisiaj jest troszka ciepłej i strony*) siem pozycynajom rozwijać trześniei kwitnom kiebyś był doma to beś siem cieszył mój Synie kochany bo mię Serce boli że tak cierpieć musisz niewinnie a Borok Reimunde ten tam dopiero ciok na tej Rusce jeśli tam żyje bo to was dziennei oplukaja bo ty tam niewiem jeśi, przewidzieć nawet ale Boga prosza o pomoc bo żoden mi nie pomoże teko. Bóg jedeny a najwsiętszo Panienska Maryja nas zaś pocieszy bo inny żoden ciem nie pocieszy. Mój Synoczku pósećom ci papier napisany i kuferty to mi zaś odpisz co tam nowego moje dziecko kochany bo mi jest weseleć jak ot ciebie pismo dostanę a jak dwa albo tedeń pisma niema to ani siem mi robić niechece a jeno czekam coych was jeszcze ros widziała poka żyja a tera już ty pisno kończa a siobom siem oncza (?) bo idą na nieszpodo widzenia twoja zasnucona Synoczku mój Młotk!

Następny list brzmiał:

REDULTOWY, dn. 5. V. 44.

„Kochane Braciszku,

Jo ten twój list otczymata i ci heca zaroz odpisać ale najpsot siem pozdawiame wszysej temi słowami N. b. p. J. K. Kochane Bracie te mi piszesz żeś już jest na froncie to wiesz żeż to niema nic nowego jeno smutek bo tego Reimundka me stracił wruse a te wtej jostali co to sa straszno los nas spokoił ale Siegmundze nie tróć nadzieje bo ja meśla że nas bóg tak strasznie nie opuści szebeś i te tam musioł zostać bo me już jednego stracił to ja meśla że bóg nie będzie tak na nas zagniewane szebyś i te tam zostój se nie staraj bo wiesz jak Reimunde detko**) pisot se on se zboga nie spuści to go tesz bóg nie opuści bo on mosz tam jeżesz kaj szed to nie wieme a te se Siegmundze nie staraj a jak bedziez miot psziesze (?) toć to se nom dzie z ja woljka odebrać***), bō ni mamie żodnej fotografak ot ciebie czamuje se nie dot we francji odebrać i beś tam miot psziesze toć jo meślała sze tesz pszydziesz na urlop za wojska te za Siegmundzie tak tego do głowe nie bier bo ta wojna se la-toś skończe i se musi skończe bo jak tak ewas meśle to jednako płazca Siegmundzie bo nie dawno beli me wszese doma a tera niema żodnego co me tak przeżyli że nas tak bóg opuścił se was tak wszestkich sdomu pozbiarał ale niechece dzieje wała boga z bogiem zostoi bo ci renki dać niemogem eto familio Bruno A. Jozia Waller Anton i jo i Anna...

Lo ci kuwerty i papier posłała

Nie zobaczy wyczerefni kwitnych po zbózach rodzinicy wsi, ani Rajmunde który z Rosji pisał, że się „z Boga nie spuści” i tam w Rosji poległ (o czym, jak widać z listów, wie siostra, ale co jest trzymane w tajemnicy przed matką), ani ten Zygmunt, który na Widmie leży. Stara matka będzie czekała dwa tygodnie, będzie się ludzła „że nas Bóg tak strasznie nie opuści, żebyś i te tam musioł zostać”.

Ale na pobojowisku nie same trupy, nie samj ranni jeszcze.

*) Fragmenty z książki poświęconej bitwie o Monte Cassino.

*) zbocza

**) zawsze

***) sfotografować

MELCHIOR WAŃKOWICZ

GEHENNA*)

Ucieczka z niewoli

Oto — chłopak ledwo wdolający się, ale najwidoźniejsi nie ranny. Twarz — zczerniała. Wszyscy ci ludzie wracający „stamtąd” mają zczerniałe twarze i nienaturalnie blizujące oczy.

Wyciągnął ręce po kubek — ręce jak mapa terenowa: fioletowe enklawy na nich, strupy, opuchlizny pęczniące białą materią, nabijane zastrzemy i drzazgi.

— Ktoście?

— Strzelec, Kiszulko Włodzimierz.

— Ranniście?

— N-nie...

— Gdzieście chodzili?

— Ja od Niemców...

— Dopieroż zaczyna opowiadać.

Jest z pod Parafinowa w województwie wileńskim.

— Ja chwila tylko co zabawił się opatrunkem zakładając jednemu co jemu koszt wyszedłszy była z ciata; a tu patrza — nie ma jakbyś już naszych. Tak ja tego ranego zaciągnął do jamy i sam — chodu... Ale nie wiem gdzie iść i na mina trafić bojanno. Tak ja ida po taśmie ale musi nie całkiem w ta stronę, bo w ta pora z bunkra coś krzycho. Myśla: nasze przeciwie byli odszedzy, to tak ono i jest, że tam

Niemcy bendo. A tu jak raz czołg stał — nie nie warty już, musi, bo pusty. Tak ja wskoczył do niego, a oni już leco do niego. Tak coz ty zrobisz — miał ja ze sobo karabin i strzelaj. Jak widzi — jeden nogami nakrywszy sien, a inne nazad do bunkra pochowali się. Tylko czuja ja, a tu po tej bunkrze — b r r y s — ze szmajsera musi szmorgneli.

— I nie trafili?

— A ci ja głupi na wierzchu w czołgu siedzi? Ja był schowawszy sień...

— No i co dalej było?

— A co? — miał ja ci nie 150 naboł. Tak co oni wysunęli się, to ja strzelam. Wszystko równo — ich śmierć albo moja. Złuli się*) strasznie na mnie i dawaj atakować. Tak co było robić — ja strzelaj. Ci może ich tam nie dwadzieścia sztuk zostało. Ależ na koniec patrza — a tu ładownicy pusty. Ja znaczy sień pomalutku, oszczędzam amunicji, ale co tu oszczędzisz, kiedy lazo. Pod wieczór ja zostaj bez naboł, że dwie godziny przesza, póki ośmielił się a potem do mnie jak parszuka z tej wieżycy wyციogeli i po mordzie dali. O — tego zembia nie ma. A te dwa ruchajoi się. I kolb po plecach przyżyłi.

*) Gniawali się.



Pożłozeniu wieńców przed popiersiem Marszałka Piłsudskiego w Warszawie — 11 listopada 1944 r.

KONCERT POLSKI W RZYMIE

W ramach uroczystości, jakie odbyły się w Rzymie, w 26 rocznicę odzyskania niepodległości, urządzony został dnia 11. XI. br. koncert muzyki polskiej w Operze Królewskiej. Ten wieczór symfoniczno-wokalny zgromadził nie tylko wielu przedstawicieli władz cywilnych, wojskowych i duchowieństwa katolickiego — wśród których wyróżnić było można ambasadora R. P. przy Watykanie Pappęgo, nuncjusza papieskiego msgr Cortesego, zastępcę dowódcy 2. Polskiego Korpusu gen. Szyzsko-Bóhusa, ks. biskupa połowego Gawliw, ks. biskupa Buczyca, przedstawicieli narodów bałtyckich i Międzymorza, profesorów uniwersytetu rzymskiego itd. Salę wypełniła bowiem publiczność złożona zarówno z żołnierzy wojsk polskich i sojusznicych, jako też z licznie przybyłych członków społeczeństwa włoskiego.

Na program koncertu złożyły się skrótko przegląd polskiej twórczości muzycznej: obok dawnych muzyków, jak Gomółka i Zieliński z XVI w., byli romantycy, jak Chopin i Moniuszko i twórcy bardziej nowoczesni — od Noskowskiego i Karłowicza, po Szymanowskiego i Woytowicza.

Z utworów symfonicznych w subtelny wykonaniu orkiestry opery rzymskiej szczególny oddźwięk u publiczności znalazł „Step” Noskowskiego i „Odwieczne Pieśni” Karłowicza. „Pochód żałobny” Woytowicza, od którego po hymnie narodowym rozpoczął się koncert, wypadł miłej zrozumiale pod względem muzycznym.

W części wokalnej b. dobrze zaprezentował się tenor E. Szumplik-Wajori, zdem z Łodzi, który wykonał arie Stefana i oem „Straszny Dwór” — wykazując wielką mękalność. „Pieśń Chorążego” z op. „Hrabina” i „Starego Kaprala” Moniuszki odśpiewał z właściwą sobie siłą głosu i temperamentem Paweł Prokopien. Obaj soliści byli zmuszeni do bisowania. Z

utworów choralnych zaś, które trochę przeciężły i tak ponad miarę obfity program, najlepiej wypadła pieśń „Bogurodzica” w wykonaniu zespołu śpiewaków z chóru Bazyliki Watykańskiej. Fragment „Stabat Mater” Szymanowskiego nie mógł dać należytego pojęcia o tym arcydziele.

Jako solista przy fortepianie wystąpił Zbigniew Grzybowski, który odegrał kilka utworów Chopina, osiągając szczyt natchnienia wirtuozowskiego w „Polonezie as-dur” wykonanym na bis.

Całość koncertu była dowodem zapala, wielkiej pracy i umiejętności jego organizatora i dyrygenta p. Mateusza Glińskiego, znanej osobistości w warszawskim świecie muzycznym, długoletniego redaktora miesięcznika „Muzyka”, muzykologa i kompozytora, którego „Modlitwa wychodźstwa polskiego” została również wykonana na koncercie przez chor a cappella, oraz dyrygenta obalnego o subtelnej interpretacji wykonanych utworów.

Po pewnej przerwie — od wystawy pn. „Polska” — koncert muzyki polskiej w Operze rzymskiej był nową manifestacją artystyczną Polaków, po której spodziewać się należy innych występów, godnych takiego samego powołania. Dobrze pomyślany pod względem propagandowym drukowany program koncertu zapowiada dalsze wieczory, poświęcone muzyce polskiej. Równocześnie czynione są końcowe przygotowania do otwarcia wystawy nowych prac artystów-malarzy, żołnierzy A.P.W. Odegranie nadto czysto polskiego utworu teatralnego, w rodzaju przygotowanego już przez czołwójkę „Wesela Śląskiego”, złożyłoby się razem na prawdziwy festwal naszej sztuki rodzimej, cenny dziś i szczególnie pożądanym jako przejaw niezłomnego i wiecznie twórczego ducha polskiego.

— Nie chcieli was zabić?

— A chto jego wie... Oficer pytał sie, gdzie mo'jdziery postawione. Nu tak czepli sie, — powiędz jemu i powiędz. A ja mówia: „A ci ja ich stawili? Nie ja ich stawili, to i nie wiem, gdzie stejo”. On pochylivszy sie był do diomacza znowu coś pytać, a ja w ta pora — w krzaki. Oni — dawaj strzelac za mn — tykoż ja nie dajęch — oni strzelajoi wprost, a ja zarządaj się w bok.

Bojąc się mnie i nowych spotkań, przedzieraj się najgorszymi ostrokrzewami, ilizacja na to, że nikt tam min nie kład, ani nikt tam na placowce nie sładzie i że istwo w nich w razie czego, wylęgi pognali. Pełzi niezmiernie wolno. Stąd te napuchnięte ręce i stąd dopiero na rano wychynają do światła.

Ciężki to los — zbierać material. Ci co kłami świadomie — to mitejsza. Gorsj są tacy, którzy kłami w pełnym przekonaniu, sami w to wierzą. Był jeden taki, który, sam w to wierzył, że zestrzelili jednego po drugim — czterdziestu ładujących spadochroniarzy. Ciężki to los — robić to co nie wypada: odsłonić twarz trupa, pytać cieżko ranego, który potrzebuje spoczynku, pytać jeńca, który się boi i siania się na nogach, przeszkadzać w dowodzeniu, nie wierzyć.

Węc i teraz mówię:

— No jakże — toś cały dzień strzelaj z tej wieżycy, wychylaj się z niej 150 razy i Niemcy nie mogli ciebie zdjąć ze szmajsera?

— Zdejmi, bracie, kószulę — mówi lekarz.

Kiszulko zdejmując kószulę. Niemcy mu zawizowali prawdę słów: na plecach fioletowie nieścychanie wyraziste odbicie plętki kolby karabinowej; w piętce dwie strubki; w śródcie dolnej widać rowek — to od żłobka dia zakrzętki. *)

*) Pytałem następnice kolegów i przelozonych Kiszulki w jego kompanii. Mówili, że to bardzo dzielny żołnierz, że w czasie walk poprzednich porwał wroczony na nasze pozycje granat ręczny niemiecki i odrzucił, zanim granat zdążył eksplodować. Czołg, do którego się schował, był jeden z porzuconych czołgów, stojących od czasu amerykańskiego natarcia.

CO ZROBIĆ Z EUROPA?

(Dokoniczenie ze str. 6)

nizmu z Anglią za wstrzymanie z końcem marca bieżącego roku emigracji do Palestyny, za popieranie Arabów i za negatywne ustosunkowanie się Londynu do planu przekształcenia żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie w niezależne państwo żydowskie ze znaczenie rozszerzonym terytorium (przyłączenie Transjordani)...

Po ogłoszeniu z początkiem bieżącego roku przez rząd angielski „białej księgi”, zawierającej dokumenty w sprawie ustosunkowania się Anglii do żądań żydowskich w Palestynie, niektóre organizacje żydowskie — szczególnie amerykańskie — ostro zaatakowały politykę brytyjską na Bliskim Wschodzie i rozpoczęły kampanię za oddaniem mandatu nad Palestyną Stanom Zjednoczonym. Dajenia te zbiegły się na terenie Bliskiego Wschodu z innymi również wpływami i planami zmierzającymi do ograniczenia interesów angielskich w tym niezmienne ważnym punkcie globu. Przejawem tych tendencji była zapewne ostatnia zmiana rzędu gipskiego i ustąpienie Nahasa Paszy, który uchodził tak długo za oddanego przyjaciela Anglii.

Oficjalne koła żydowskie w Palestynie w zdecydowanej formie popęły mord kairski i całą akcję terrorystów.

Zamordowany Lord Moyne znalazł w szerokich kręgach polskiej emigracji w Londynie, gdzie jego dom był ośrodkiem akcji charytatywnej dla Polaków, którzy przybyli do Anglii w r. 1940. D. I.

WYSTAWA MALARZY W RZYMIE

W Circolo Artistico Internazionale, gdzie wystawiali przed wojną swoje obrazy najlepsi malarze Włoch i zagranicy, dnia 25 listopada br. otwarta zostanie wystawa malarzy-żołnierzy 2-go Korpusu. Udział w niej wezmą: Józef Jarema, Zygmunt Turkiewicz, Edward Matuszczyk, Stanisław Westawiecki, Janina Wolf-Bogucka, Marian Kościelkowski, Henryk Siedlanowski, Leopold Haar oraz rezbisarz Adolf Glet.

Doenajęąc znaczenie kulturalne i propagandowe imprezy, osobisty protektorat nad obaj D. Wódca Korpusu, generał Władysław Anders. Na otwarcie wystawy zaproszeni zostali przedstawiciele armii sprzymierzonych, członkowie korpusu dyplomatycznego i elita kulturalna Rzymu.